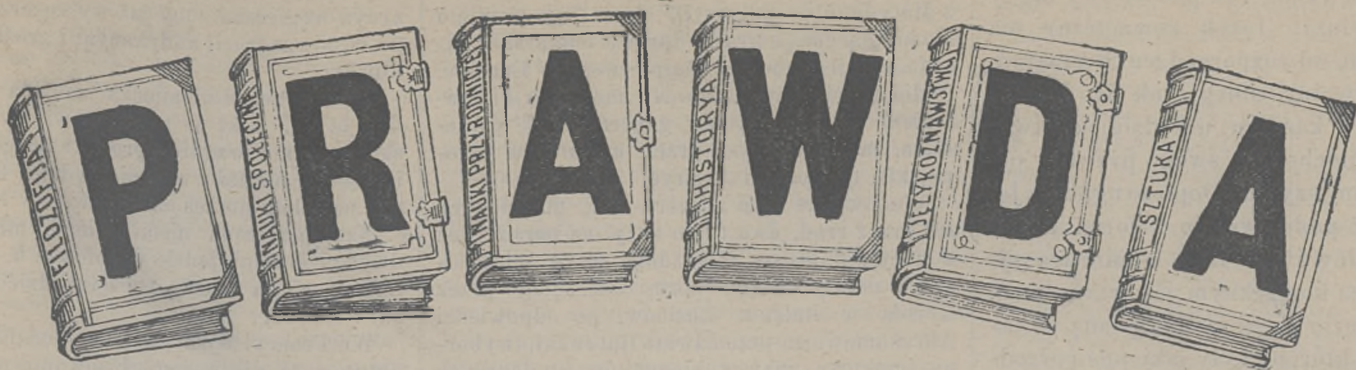
Nr. 2 (1150). Warszawa, 28 Grudnia 1902 r. (10 Stycznia 1903 r.) Rok XXIII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.



UGODA.

—◆—

Dnia 3 b. m. zebrali się w Wiedniu mężowie zaufania obu stron, politycznie wojujących w Przedlitawii: Czechów i Niemców na Morawach i w Czechach—na ugodę. Długo oczekiwane, niedowierzaniem w samem zaczęciu przyjmowane, narady zagaił główny do zgody napędzacz, prezes ministrów Körber. Szczęsne dojście układu z Węgrami wzmocniło jego retorykę wstępną, ale nie osłabiło wzajemnej zaciętości stron, raczej poddających się operacyi ministeryalnej, niż szczerze pokoju pragnących. Zanim się konferencye rozwiną w szczegółowe żądania, odmowy i spory, potrzeba poznać zasadnicze programy obu stron, ogłoszone w grudniu r. z. Służą one za podstawę do rozpraw, wskazują obustronne stanowisko, określają *minimum* wymagań tak czeskich jak i niemieckich. Samo ich poznanie pozwoli już wywróżyć naradom — niepowodzenie. Dodatnim wynikiem konferencyi może być tylko zniżenie skali wzajemnych żądań, ale i to w punktach mniej ważnych, najważniejsze bowiem filary wiary politycznej tak jednych jak drugich niewzruszonymi pozostaną: Niemcy nie odstąpią od języka niemieckiego jako urzędowego; Czesi nie pozwolą sobie wydrzeć swojego Staatsrechtu Rudolfa II, nie zgodzą się na pokawałkowanie Czech na niemieckie i czeskie, nie wydadzą wreszcie swych braci morawskich na łup sejmu, ordynacyi wyborczej i całego mechanizmu władz prowincyonalnych.

Wcześniej od Czechów ogłosili po długich naradach wszystkich rozłamów swoich niezbędne warunki pokoju politycznego Niemcy. Już na początku grudnia ukazało się *Auseinandersetzung*, z ustnym komentarzem Baerenreithera, przewódcy Niemców „wiernych konstytucyi,“ to jest ugniatających ją na własną potrzebę. W tem wypracowaniu niemieckiem główny przedmiot sporu, język, nie jest bynajmniej głównym punktem reform projektowanych; rola ta dostaje się podziałowi niby administracyjnemu, a rzeczywiście etnograficznemu krainy czeskiej, nią bowiem tylko zajmują się żarliwsi i oziębłejsi przyjaciele konstytucyi, wyraźnie usuwając margrabstwo morawskie z pod rozpraw. Dla dobra tedy administracyi mają być wytworzone w Czechach nowe dwie jednolite jednostki terytoryalne: wyższa *Kreis* (obwód) i niższa *Sprengel* (poddział). Pierwszych ma być sześć, drugich tyle, ile ich da statystyka ludności, oddana na służbę naczelnej dążności, aby poddziały były jak najjednolitsiej jednonarodowe. Obwód miałby własny swój rząd, własny sejm i wydział; rządowi dostałoby się wiele atrybucyj dzisiejszego namiestnictwa; sejmowi i wydziałowi — znaczna część uprawnień sejmu i wydziału krajowego. Jeżeli wszystkie wydziały są jednonarodowe, to i cały obwód należy do narodowości we wszystkich panującej; w razie przeciwnym uważa się go za mieszany dopiero wtedy, kiedy ludność, stanowiąca w nim mniejszość, dosięgnie pewnego odsetku. Organa władzy w obwodach i poddziałach pośredniczyłyby pomiędzy namiestnictwem, sejmem i wydziałem krajowym a istniejącymi już powiatami (*Bezirkshauptmannschaft*).

Drugiem żądaniem niemieckiem jest uznanie języka niemieckiego za język bądź państwowy, bądź pośredniczący (*vermittelnd*). Żądanie to jest tak silnem, że nawet na terytoryach, które Niemcy sami za czeskie uznają, wypadki, w których wolno używać języka czeskiego, muszą być wyraźnie a ustawodawczo wymienione. Co ma być zatem monopolem prawa dla Niemców, może być tylko przywilejem łaskawości dla Czechów. Wolno będzie wnosić wszędzie podania po czesku, ale władze rozstrzygać je będą w wypadkach nieobjętych przywilejem jedynie tylko po niemiecku. Urzędnikiem na danem terytoryum może być tylko ten, kto w ostatnim spisie ludności przyznał się do narodowości tego terytoryum. Na obszarach mieszanych i w Pradze urzędnik powinien władać obu językami.

Ogłoszony d. 17 grudnia „elaborat“ czeski jest krytyką niemieckiego, krytyką napisaną przedmiotowo, z wielkim spokojem i jasnością myśli. Czesi przedewszystkiem dopominają się jednoczesnego a niepodzielnego urządzenia stosunków czeskich, morawskich i śląskich. Następnie ganią splątanie sprawy administracyi ze sprawą języka, i to jeszcze w sposób wypierający język z głównego nad wszelkimi innymi panującego stanowiska. Potrzeba przedewszystkiem rozwiązać zagadnienie językowe, rozwiązanie zaś nie będzie trudnem, gdyż Czesi właściwie nie stawiają nowych żądań, dążą tylko do przeprowadzenia w życiu praw literalnie już istniejących. Oba języki są już równouprawnione w zasadzie. Język czeski nie potrzebuje umyślnych przywilejów; żadne stronnictwo na owe niemieckie wyjątki z pod reguły uznającej język niemiecki za panujący nie przystanie.

W sporze niemiecko-czeskim odróżniano zawsze język „zewnętrzny“ od „wewnętrznego.“ Pierwszy pojmowano jako język obywatelski, drugi jako język urzędników. Obecnie Czesi żądają, aby ustalenie praw jednego lub drugiego języka dla obu stron

było jednakowe co do metody i sankcyi prawodawczej. Do uznania języka niemieckiego wewnętrznego za państwowy nigdy ręki nie przyłożą. Język zewnętrzny ma już od r. 1880, od rozporządzeń Stremayra, zapewniony wolny obieg, tak iż „Czech lub Niemiec w każdym urzędzie państwowym może dochodzić swego prawa w ojczystym swym języku.“ Dopiero ugoda o język może dać podstawę do reform, do nowych podziałów i urządzeń administracyjnych i jest też koniecznym ich warunkiem. W żadnym razie Czesi nie przystaną na takie obwody, któreby były jakiemiś pośrednikami pomiędzy starostą a ministrem, na wzór departamentów francuskich. Konieczną jest decentralizacya, ale niezbędną także i jednolitość, jaką zapewnia namiestnictwo. Proponowane przez Niemców zniesienie wydziałów powiatowych byłoby szkodliwem. Podział na terytorya językowe wprowadziłby dezorganizacyę. Wszystkie stosunki dalsze łatwo będzie ustalić, gdy się rozstrzygnie sprawę językową. Upominając się o prawa swego języka, Czesi odpychają od siebie myśl, jakoby przyznanie ich miało być jakąś „koncesyą,“ dążą bowiem tylko do równouprawnienia z innymi ludami monarchii. Obstając przy zasadzie niepodzielności Królestwa Czeskiego, posłowie czescy zapowiadają Niemcom, że jeśli przyjdzie do zajęcia się Morawią, pierwszem ich żądaniem będzie zmiana ordynacyi wyborczej.

Pod temi hasłami rozpoczyna się wojna na konferencyach wiedeńskich, mających obdarzyć Przedlitawię pokojem.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Zgromadzenie narodowe bulgarskie (sobranije) uchwaliło znaczne podwyższenie budżetu wojskowego. Na opór opozycyi minister skarbu odpowiedział oznajmieniem większych jeszcze żądań w przyszłości, której jednak bliżej nie określił. Kiedy prezydent Danew zawiadomił Izbę, że „Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan Mikołaj II raczył ofiarować 10,000 rubli zapomogi dla nieszczęśliwych zbiegów z Macedonii do Bulgaryi,“ słowa jego przyjęto niemilknącem „hurra!“ Sprawa bulgarsko-macedońska jest obecnie najpierwszą w Europie. Podobno wilajety kossowski, monastyrski i salonicki mają otrzymać gubernatorów chrześcian, zatwierdzanych przez mocarstwa europejskie, tj. Rosyę i Austryę.

We Lwowie sejm z trzech dni, udzielonych mu przez rząd, dwa tylko zużył na narady; już w nocy z d. 30 na 31 grudnia sesyę odroczono. W dalszym ciągu sporu, wszczętego przez Korola w imieniu Rusinów, po odpowiedzi Abrahamowicza przemawiał Rutowski, wyborny, naukowy znawca stosunków społecznych Galicyi. Uchwalony tymczasem budżet musiał przedzierać się przez opozycyę *quand même* Rusinów, reprezentowanych w tym wypadku przez Mogilnickiego, jako generalnego mówcę. Poseł Stapiński na posiedzeniu południowem d. 30 z. m. wśród hucznych oklasków oświadczył, że wobec napaści Rusinów zajmuje stanowisko obronne w jednym szeregu z całą większością zachowawczą polską.

Telegram z Rzymu donosi o złym stanie zdrowia papieża.

W Marokko ścierają się sułtan z pretendentem, Abdul-Azis z Bu-Amarą, czy Hamarą, a państwa śródziemnomorskie (jest niem i Anglia) z Hiszpanią. Sułtan, wparty do Fezu po klęsce, w której zwycięzcy naobcinali tysiące głów, wysyła swego brata z pusto brzmiącymi frazesami, aby pokonał buntowników. Hiszpania, dyplomatycznie obsaczona przez zaprzyjaźnione mocarstwa, musiała zaniechać wysłania eskadry i wojska „dla zabezpieczenia własnych posiadłości i poddanych.“ Każdy pragnie coś dla siebie zabezpieczyć — Włochy, co najmniej Trypolitanię — ale nie mogą się między sobą zgodzić na to, co się każdemu z osobna dostać powinno. Francya, dążąca do asekuracyi przez prostowanie i zaokrąglanie granic Algeryi, porozumiałaby się już z Hiszpanią, gdyby nie Anglia, która, osłaniając Włochy, myśli o drugim Gibraltarze na drugim brzegu. Ta niedojrzałość żądz może na teraz ocalić sułtanat, ostatnie szczere, fanatyczne schronisko mahometanizmu. Właśnie reformy przedsiewzięte przez młodego sułtana miały dać pochop do powstania. Wojskiem rządowem zawiaduje jakiś Anglik w charakterze ministra wojny.

O samej prawie północy ostatniego dnia roku stanęła ugoda przedlitawsko-węgierska, ustnie między ministrami, nazajutrz oznajmiona przez Szella z krótkim komentarzem, że nie było przy jej zawarciu ani zwycięzców, ani zwyciężonych. Pomimo tego zapewnienia opozycya węgierska zęby już wyszczerza. Podobno cesarz zagroził abdykacyą: i groźba poskutkowała.

Ugoda czesko-niemiecka zaczęła się pocić d. 3 b. m. Nikt w nią nie wierzy, nikt jej szczerze nie pragnie, prócz samego Körbera i cesarza, nic też z niej nie będzie. Przewodniczy naradom prezes ministrów.

Następca tronu niemieckiego, młodzian już dwudziestoletni, jedzie w połowie b. m. do Petersburga. Na wiosnę ma odwiedzić dwór włoski i Włochy.

We Francyi wybierano w niedzielę 100 senatorów. W pierwszem głosowaniu przeszło 47 kandydatów republikańsko-rządowych i 29 przeciwników rządu; w drugiem 9 rządowych i 11 opozycyjnych; 3 wybory pozostały nierozstrzygnięte. Wynik dla stronnictw panujących niebardzo świetny, ale pomyślny: 56 (59) do 44 (41).

Niemcy i Anglicy zabrali w Puerto Cabello 40 statków handlowych Wenezueli, w La Guayrze opanowali komorę. Zdaje się, że są to już ich najwyższe czyny; w osłonach grzeczności dyplomatycznych Stany Zjednoczone przeprowadziły swój interes polityczny: chociaż późno i pośrednio zapewniły moc doktrynie Monroe'a. Castro postawił niedorzeczną propozycyę, która mogła obrazić unię: aby inny jaki prezydent rozstrzygnął spór. Skończy się na Hadze. Napastnicy podsycają rokoszan; wszystkie te Matosy, Rolandy itp. pobrzękują pieniędzmi i błyskają bagnetami angielskimi. Ludność ze zdrowego instynktu trzyma się Castra.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Zarysy Francyi współczesnej.

(Dokończenie).

Dziedzinie... części o nauce, literaturze i prasie p. Kudrin daje czytelnikowi całkowity i wszechstronny obraz dziennikarstwa francuskiego ze wszystkiemi jego wielkiemi zaletami i niemniejszemi ohydami, nie zaniedbując też historycznego

---

LAFCADIO HEARN.

ŻYWY BÓG.

Od niepamiętnych czasów brzegi Japonii były opłukiwane, w nieregularnych a całe wieki trwających odstępach, przez olbrzymie fale, spowodowane bądź trzęsieniem ziemi, bądź też wybuchami podmorskich wulkanów. Japończycy nazywają *tsunami* te straszne, nagłe podnoszenia się morza. Ostatni taki zalew zdarzył się wieczorem d. 17 czerwca 1896 roku, kiedy fala, blizko dwieście mil długa, zalała północno-wschodnie prowincye Miyagi, Iwate i Aomori, burząc dziesiątki miast i wsi, rujnując całe okręgi i zatapiając blizko trzydzieści tysięcy ludzi. Historya o Hamaguchi Gohei jest opowieścią z czasów takiej klęski, która zdarzyła się na długo przed erą Meiji, na innym odcinku japońskiego wybrzeża.

Był on już starcem w chwili zdarzenia, które uczyniło go sławnym, najbardziej wpływowym mieszkańcem wsi, w której mieszkał i gdzie pełnił od wielu lat obowiązki maruosy czyli naczelnika, równie lubiany jak szanowany. Ludzie nazywali go powszechnie Ojiisan, co oznacza Dziadek; a ponieważ był najbogatszym w gminie, więc nazywali go też Choja. Służył drobniejszym włościanom swą radą w interesach, rozstrzygał ich spory, dawał w razie potrzeby zaliczki, sprzedawał ich ryż na możliwie najlepszych warunkach.

Ogromny, strzechą kryty dom Hamaguchiego wznosił się na skraju małego płaskowyżu, panującego nad zatoką. Płaskowyż ów, obrócony przeważnie pod uprawę ryżu, otoczały z trzech stron gęsto zalesione góry. Od zewnętrznej krawędzi począwszy, ziemia opadała w dół w postaci olbrzymiej, zielonej kotliny, ciągnącej się aż ku wodzie; stoki kotliny, długie około trzech ćwierci mili, posiadały kształt tarasów, które od strony morza przedstawiały się niby nadzwyczaj wielkie, zielone schody, rozdzielone pośrodku wązkim, białym zygzakiem zwykłej, górskiej ścieżyny. Dziewięćdziesiąt strzechą pokrytych chałup i szyntoiska świątynia, tworząc właściwą wieś, stały szeregiem wzdłuż zatoki; inne domy w różnych odstępach wspinały się z trudem po pochyłości po obydwóch stronach wązkiej ścieżyny, prowadzącej do domostwa Choji.

Pewnego jesiennego wieczora Hamaguchi Gohei przyglądał się z balkonu swego domu przygotowaniom, jakie czyniono we wsi do zabawy. Ponieważ ryż wydał świetny plon, więc włościanie postanowili uczcić żniwo tańcami na podwórzu swego *ujigami*, to znaczy szyntoiskiej świątyni parafialnej. Starzec widział odświętne bandery *nobori*, powiewające na dachach opustoszałej ulicy, łańcuchy papierowych latarni, tworzące festony pomiędzy bambusowemi żerdziami, dekoracye kaplicy i barwne zgromadzenie młodzieży. Nie miał przy sobie tego wieczora nikogo, oprócz swego małego wnuczka, liczącego dziesiąty rok życia; reszta domowników wybrała się wcześnie do wsi. I on byłby im towarzyszył, gdyby się nie czuł słabszym, niż zazwyczaj.

Dzień był parny; pomimo zrywającego się wiatru powietrze wypełniał ten rodzaj gniotącego gorąca, który, zgodnie z doświadczeniem japońskiego wieśniaka, poprzedza w pewnych porach trzęsienie ziemi. Istotnie, w tej samej chwili dało się ono uczuć. Nie było tak mocne, aby przestraszyć kogokolwiek, lecz Hamaguchiemu, który doświadczył w ciągu swego żywota setek wstrząśnień, to ostatnie wydało się jakimś niezwykle długim, powolnym i gąbczastym ruchem. Prawdopodobnie było to tylko echo jakiejś potężnej akcyi wulkanicznej gdzieindziej. Cały dom zatrzeszczał i kilka razy zachwiał się łagodnie; potem znowu zapanowała zupełna cisza i spokój.

rzutu oka, między innemi, na czynności — i niepowodzenia dawnej cenzury. Wyborny jest opis sposobów, na jakie bierze się pewna ambasada, aby zapewnić sobie w dziennikach milczenie o nieprzyjemnych dla jej rządu wypadkach albo ich przekręcanie; mowa tam o ambasadzie hiszpańskiej i o nieprzyjemnem powstaniu Kuby.. Mamy tu też głęboką charakterystykę Zoli, jako mieszczańskiego utopisty, z powodu jego powieści „Płodność.“ Szczególniej jednak zwracam uwagę na niezwykle sumienną i gruntowną krytykę teoryi Gustawa Lebona i wogóle, teoryi odrębności rasowych i walki ras ludzkich o byt p. t, „Socyologia człowieka-zwierzęcia.“ Tę samą metodę krytyki fikcyj rasowych autor stosuje też potem skutecznie w rozdziale o antysemityzmie i kwestyi żydowskiej we Francyi, w którym daje zarys historyczny rozwoju stosunków Żydów do narodów europejskich. Tu zresztą przechodzimy już do objawów i źródeł najnowszej, trwającej jeszcze we Francyi walki między siłami reakcyi i postępu. Kudrin nadzwyczaj zajmująco i naogół bardzo trafnie opisuje przyczyny słynnej mistycznej, neo-katolickiej reakcyi mieszczaństwa francuskiego, połączonej z reakcyą polityczną, z wyrzeczeniem się dawnych haseł równości i wolnej myśli. Powierzchownosć, płytkość, często lekkomyślność wyznawanego poprzednio materyalizmu i racyonalizmu, strach przed wzrastającą siłą mas, stawiających, dzięki oświacie, nowe żądania, brak czynnego współczucia dla cierpiących, pchający ludzi, co używają egoistycznie życia, do pseudo - filozoficznego pesymizmu, jako wygodnej wymówki, dalej przesyt i sceptycyzm względem wszystkich zasad, właściwy przeżywającej się klasie i stwarzający grunt dla wszystkich, najdziwaczniejszych nowinek — oto główne przyczyny zwrotu neo-mistycznego. Dla wytłomaczenia reakcyi dodać jeszcze musimy niesłychany, potworny kult militaryzmu i ciasny patryotyzm, rozwijany w dzieciach nawet pod wpływem klęski r. 1870... Maurycy Bouchor, subtelny poeta, dziś na szczęście na inne nawrócony idee, pisał *dla dzieci* poezye i pieśni w rodzaju następującej: „Mieczu bojowy, pociecho wojaka! Niejedną ranę zadasz, niejednemu wrogowi krzyk wytłoczysz z piersi! Pij krew, gryź ciało, zabłyśnij krwawą błyskawicą!..“ Stąd sprawa Dreyfusa. Jej poświęca autor nasz kilka świetnych rozdziałów. Rozdział o ideowem odrodzeniu Francyi wywarł w swoim czasie na całą postępową inteligencyę rosyjską olbrzymie wrażenie. Tu właśnie występują owe wzniosłe zalety Francuza, branego w masie, o których była mowa na początku. Autor kładzie szczególny nacisk na rolę inteligencyi w odrodzeniu Francyi, i w zasadach, wygłaszanych w tem przesileniu przez przywódców inteligencyi postępowej, występującej w obronie humanitaryzmu i wolnej myśli, odnajduje — rzecz ciekawa — dosłownie prawie poglądy socyologicznej „subjektywnej“ szkoły rosyjskiej. Lecz tu właśnie jest słaby punkt autora. W poglądach swych na inteligencyę, jako stojącą niejako ponad klasami, jako specyalnie uzdolnioną do służenia postępowi przez sam fakt swej umysłowej funkcyi w społeczeństwie, p. K. okazał zbyt wiele optymizmu: wiadomo, że po załatwieniu sprawy Dreyfusa nie pozostała ona bardzo wierną swym ówczesnym postępowym sprzymierzeńcom, i że na nowo odbywa się w niej obecnie chwilowo zatarte zróżnicowanie. Dość słaby także i niezbyt interesujący, bo drobnostkowy — jest rozdział, poświęcony krytyce marksizmu wogóle z powodu marksizmu francuskiego w szczególności. Wreszcie z tego samego źródła — ogólnego stanowiska autora — wynika pewne przecenianie znaczenia wybitnych jednostek.

Ale z drugiej strony ta sama przyczyna sprawia, że K. daje nam kilka wybornie skreślonych portretów psychologicznych takich jednostek wybitnych; i nie chcąc, aby niniejszy artykuł był tylko suchą recenzyą, pozwolę sobie na zakończenie przytoczyć w streszczeniu dwie wysoce pouczające charakterystyki — renegatów ideowych z czasów drugiego cesarstwa.

Pierwszy — to Emil Ollivier, ten sam, który z „lekkiem sercem“ posłał pułki francuskie na nierówną walkę z niemieckimi i który dziś jeszcze z miedzianem czołem ośmiela się na publicznych posiedzeniach Akademii francuskiej, której jest członkiem, wygłaszać mowy przy rozdawnictwie „nagród za cnotę.“ Ollivier był synem gorliwego republikanina i sam w młodości zapalonym republikaninem. W 23 roku życia, podczas rewolucyi lutowej, był komisarzem głównym rządu tymczasowego w Marsylii, a potem jeszcze, już po zamachu stanu Napoleona III, deklamował na zebraniach młodzieży „Châtiments“ Wiktora Hugo i układał projekty konstytucyi. Ale główną cechą charakteru młodego adwokata była ambicya i karyerowiczostwo. Więc choć z początku głosi, że republikanie na znak protestu nie powinni brać udziału w parlamencie cesarskim, wkrótce sam daje się wybrać na posła. To też rychło zaczyna krytykować „systematyczny pesymizm“ swych towarzyszów-opozycyonistów, którzy nie chcą uznać tego, co w działalności rządu jest dobrem, i w imię „patryotyzmu“ przestaje zwalczać cesarstwo, doradzając mu tylko porobienie drobnych ustępstw. Równolegle otrzymuje synekurę kontrolera towarzystwa sueskiego — 30,000 fr. pensyi... W r. 1870 zostaje prezesem ministrów i podczas wyborów używa wszystkich okrzyczanych szykan rządowych przeciw dawnym towarzyszom.

Ale to typ ostatecznie prosty: zwyczajny, suchy a obłudny karyerowicz-egoista, jakich tylu dziś w republikańskiej klice urzędowych oportunistów. Prévost-Paradol, którego charakterystyka u Kudrina jest rzeczywiście mistrzowska, należy do typu renegatów, daleko bardziej złożonego i zarazem pouczającego. Przed i w r. 1848 — namiętny „materyalista i socyalista,“ oskarża społeczeństwo, lecz w oskarżeniach jego przebija szczególniej zazdrość i uraza biednego studenta, niemogącego mieć tych koni i kobiet, co wzgardzona złota młodzież. Dumny ze swych zdolności, szuka dla nich korzystnego zastosowania i przyjmuje od rządu Napoleona III posadę profesora uniwersytetu. Wyrzeczenie się czynu i ideałów demokratycznych motywuje wobec siebie samego tem, że zdobył oto możność owocnej pracy naukowej, i tem, że lud okazał się ciemnym, barbarzyńskim, a więc danie mu głosowania powszechnego byłoby wpuszczeniem byka do sklepu z porcelaną. Takie poglądy, połączone z wielkiemi zdolnościami, prowadzą go do obozu umiarkowanej opozycyi liberalnej: zostaje naczelnym redaktorem *Debatów*. Ale na równi pochyłej zatrzymać się nie można; żądza użycia i władzy znajduje zawsze ideowe argumenty: wślad za Ollivierem i Paradol przyjmuje służbę u Napoleona III, jedzie jako ambasador do Waszyngtonu. Nagle, zaledwie tam przybył, dochodzą wiadomości o klęskach, o upadku cesarstwa; w tej strasznej chwili budzą się wspomnienia dawnej czystości duchowej; świetny publicysta i dygnitarz z żalu nad zmarnowanem życiem zabija się wystrzałem z pistoletu. Jego rozterkę duchową

Gdy drżenie ustało, Hamaguchi z wyrazem niepokoju zwrócił ku wsi swe stare, bystre oczy. Zdarza się bardzo często, że gdy kto wpatruje się uporczywie w jedno miejsce lub w pewien przedmiot, to nagle jego uwagę odwraca coś leżącego po za polem widzenia. — Patrząc ku wsi, Hamaguchi zauważył coś osobliwego na pełnem morzu. Powstał więc z miejsca i zaczął wpatrywać się w dal. W tej chwili sciemniło się i poczęło dziać coś niezwykłego. Zdawało się bowiem, że morze porusza się przeciw wiatrowi — woda odpływała od brzegu.

Wkrótce cała wieś zauważyła to ciekawe zjawisko. Pozornie nikt nie odczuł poprzedniego drżenia ziemi, lecz wszystkich zdumiał ruch wody, pobiegli więc na płaskie, piaszczyste wybrzeże, a nawet jeszcze dalej, aby się przyjrzeć rzadkiemu zjawisku. Nikt z żyjących nie pamiętał takiego odpływu. Rzeczy nigdy przedtem niewidziane pojawiły się przed oczami zdumionych widzów; Hamaguchi spostrzegł nieznane sobie przestrzenie pofałdowanego piasku i obnażone skały, porosłe glonami. Nikt nie domyślał się nawet, jakie znaczenie miał ten potworny odpływ.

Sam Hamaguchi Gohei nigdy przedtem nie widział nic podobnego; lecz pamiętał on dobrze opowiadania, słyszane w dzieciństwie od swego dziadka i znał tradycye wybrzeża. Rozumiał więc doskonale, co morze zamierzało uczynić. Pomyślał tylko ile to czasu potrzeba na posłanie wiadomości do wsi, lub na to, aby kapłani z buddyjskiej świątyni na wzgórku uderzyli w swój wielki dzwon.... Ale o wiele więcej czasu zabrałoby opowiadanie o tem, co on myślał, niż jemu trzeba było do pomyślenia. Starzec zawołał na swego wnuczka:

„Tada! — prędko... prędko!... Zapal mi pochodnię.“

Taimatsu, czyli pochodnie sosnowe, znajdują się zawsze w wielu nadbrzeżnych mieszkaniach dla użytku podczas nocy burzliwych, jakoteż w czasie pewnych uroczystości szyntoiskich. Chłopiec zażegł pochodnię, starzec pośpieszył z nią na pole, gdzie setki kop ryżu, przedstawiających większą część jego kapitału, czekały na zwiezienie do stodół. Pobiegłszy do stogów, umieszczonych najbliżej, zaczął podpalać je, przechodząc od jednego do drugiego tak prędko, jak go tylko stare nogi ponieść mogły. Wysuszona na słońcu słoma płonęła, jak próchno; wzmagający się powiew od morza pędził płomienie w głąb lądu; wkrótce też jeden szereg stogów za drugim stanął w ogniu, wyrzucając ku niebu słupy dymu, tworzące jeden olbrzymi skłębiony wir. Tada, zdumiony i przerażony, biegł za dziadkiem wołając:

„Ojiisan! dlaczego to? Ojiisan! Dlaczego? — dlaczego?“

Ale Hamaguchi nie odpowiadał: nie miał on bowiem czasu dawać wyjaśnień; myślał jedynie o tych czterystu żywotach ludzkich, znajdujących się w niebezpieczeństwie. Przez chwilę dzieciak wpatrywał się dziko w płonący ryż; potem wybuchnął płaczem i pobiegł z prowrotem do domu, w przekonaniu, że dziadek dostał pomieszania zmysłów. Hamaguchi tymczasem podpalał jeden stóg za drugim, aż wreszcie doszedł do granicy swego pola; wtedy rzucił pochodnię na ziemię i czekał. Pomocnik w świątyni na wzgórku, spostrzegłszy pożar, zaczął bić w ogromny bęben; mieszkańcy wsi odpowiedzieli na to podwójne wezwanie. Hamaguchi patrzył na lud śpieszący, jak rój mrówek, z piasku morskiego, przez wybrzeże po stoku kotliny, i żałował, że nie biegli prędzej; chwile oczekiwania zdawały mu się nieskończenie długie. Słońce właśnie zachodziło; pofałdowane łożysko zatoki i olbrzymia płowa przestrzeń z tyłu odkryły całą swą nagość aż po ostatnią zorzę pomarańczowej barwy; mimo to morze uciekało jeszcze w kierunku horyzontu.

(D. n).

wybornie charakteryzuje własna powiastka, którą też te uwagi zamkniemy:

Oto, opowiada Paradol, w pewnem miasteczku niemieckiem żył młodzieniec imieniem Herman, kochany przez wszystkich za przymioty duszy i ciała. Jedno w nim było dziwne: z zachodem słońca zapadał natychmiast w nieprzeparty sen, a sam o sobie mówił zawsze z wielkim smutkiem. Tajemnica polegała na tem, że dusza Hermanna żyła w dwóch ciałach. W dzień była ona szlachetnym, dobrym młodzieńcem, w nocy zaś, która jest dniem na antypodach, była w Australii bezecnym włóczęgą Parkerem. Parker wkrótce popełnił zbrodnię i został powieszony. Tego samego ranka znaleziono Hermanna bez życia w łóżku... I Prévost-Paradol, w którego życiu Hermann, budząc się z uśpienia, skazał na śmierć Parkera, pyta pół-pobłażliwie, pół-boleśnie: Lecz cóż w tem dziwnego? Czyż wszyscy nie jesteśmy Hermannami i Parkerami zarazem? Czy dobre popędy w duszy każdego z nas nie są nierozerwalnie splecione z ohydnymi?..

Ale takim dwuosobowym istotom autor nasz przeciwstawia postać, jakby z jednej skały wykutą: Augusta Blanqui...

K. Krauz.

Ruch kobiecy we Włoszech.

Za Amerykankami i Angielkami, przodującemi ruchowi kobiecemu podąża i Włoszka. W walce z przesądem zagrzewa ją wspomnienie dawnych tradycyj, świadczących dobitnie o stanowisku, jakie niegdyś zajmowała i o zasługach, jakiemi się odznaczyła. Tym, którzy jej odmawiają zdolności naukowych, którzy starają się zacieśnić pole jej działania, odpowiada wskazaniem przeszłości. A przeszłość ta wymowna jest faktami. W początkach XI wieku, uniwersytet miasta Salerno wydał cały szereg kobiet doktorów. W XIII stuleciu wszechnica Bolońska otworzyła studentkom wszystkie swe fakultety. W tymże czasie wiele kobiet oddawało się z pożytkiem badaniom filozoficznym. Sławna Dorotea Bocchi dorównywała najwybitniejszym filozofom ówczesnym. Podanie mówi o kilku kobietach profesorach prawa w owym czasie, a o jednej z nich Battisii Gozzardini, wiarogodny historyk Litta twierdzi, że musiała nauczać na placach publicznych, bo mury uniwersytetu nie mogły pomieścić jej słuchaczów. W epoce odrodzenia kobiety rzuciły się z zapałem do nauki języków starożytnych. Odznaczyły się zaszczytnie: Isotta Nogarola, świetna mówczyni łacińska, Cargninia Molza, tłomaczka Platona, Olimpia Moorata, autorka komentarzy do paradoksów Cicerona, którą uniwersytet w Heidelbergu powołał na katedrę greckiego, wreszcie Cassandra Fedele, uznana ogólnie za powagę w rzeczach filozofii i filologii. Największą sławą okryła się podówczas Elena Lucrezia Cornaro Piscopia, ksieni Akademii dei Pacifici w Wenecyi, której wiedza i talent tak wysoko były cenione, że raz senat wenecki odłożył swe posiedzenia z powodu jej odczytu, który miał się odbyć tego samego dnia. Zostawszy profesorem filozofii postanowiła ubiegać się o taką godność w teologii, lecz mimo poparcia kilku profesorów Sorbony nie została przypuszczona do egzaminów, w myśl słów św. Pawła: „Mulier non docent.“ Idea równouprawnienie kobiet, nie była nieznaną i w XVII wieku. Do gorliwych jej zwolenniczek należy Modesta Pozzii de Zorzi, autorka książek „O pożyteczności kobiety“ i „Szlachetność i doskonałość kobiet, wykazana przez porównanie z wadami mężczyzn.“ Inna pisarka, Lucrezia Borgia, ogłosiła w 1621 r. dzieło, pod tytułem: „Zwycięztwo niewiast.“

Jeszcze w XVIII stuleciu pięć kobiet zasiadało na katedrze w uniwersytecie bolońskim. W pierwszych latach ubiegłego wieku, Maria Della Donne prowadziła szkołę estetyki, była doktorem medycyny i ostatnim profesorem-kobietą. Długą przerwę, która potem nastąpiła, spowodowały w znacznej części wypadki polityczne. Nie pora była myśleć o naukach, kiedy wszystko wrzało dokoła, kiedy naród powstawał z wielkiego uśpienia, domagając się wolności i niepodległości. Włoszki, zawsze dobre obywatelki i żarliwe patryotki, poczęły ubiegać się z mężczyznami nie o pierwszeństwo w zaszczytach i tytułach, jak dotąd, lecz w ofiarności i poświęceniu. Z uczonych stały się wieszczkami i bohaterkami. Wśród tych, którzy dali życie za ideę zjednoczenia Włoch, jest też imię kobiety — Eleonory Pimentel Fonseca. Poetka, chwalona przez Metastasio, autorka natchnionych wierszy patryotycznych, była założycielką i kierowniczką pisma postępowego *Il monitore di Napoli*. Działalnością literacką tak się naraziła Bourbonom, że skazano ją na śmierć w 1790 r. We dwa lata potem druga kobieta, Luisa Sanfelice, padła ofiarą zemsty tyranów, od których na chwilę uwolniła swą ojczyznę. Podczas krótkotrwającej, przez wielką Rewolucyę francuską zaprowadzonej rzeczypospolitej we Włoszech, stronnicy Bourbonów neapolitańskich uknuli spisek. Za danem hasłem wyrznąć miano wszystkich republikanów, tj. prawie całą ludność, bo tylko tych postanowiono oszczędzać, którzy posiadali kartę ochronną, wydaną przez sprzysiężonych. Taką kartę wręczył przyjaciółce swej, Sanfelice, główny organizator spisku, Szwajcar Backer, przypuszczając ją do tajemnicy. Odważna kobieta oddała kartę oficerowi armii narodowej, Ferri, jednemu z przeznaczonych na rzeź i wyjawiła sądowi, co wiedziała o zamachu, niwecząc tym sposobem niecne zamiary. Bourbonowie umieli się mścić; to też pierwszym czynem powracającego na tron króla było wtrącenie do więzienia, a następnie ukaranie śmiercią tej, która śmiała udaremnić jego zamysł.

Po jawnych buntach nastąpiła epoka tajnych stowarzyszeń, dążących do oswobodzenia Włoch. Jednem z najbardziej zasłużonych i czynnych było towarzystwo tak zwanych węglarzy, *dei Carbonari*. Do niego należała Matylda Viscontini, żona polskiego generała Dembowskiego. W r. 1822 została uwięziona w Medyolanie. Poddana długiemu badaniu, odpowiadała z taką dumą i przytomnością umysłu, że komisarz policyi, zniecierpliwiony, zapytał urągliwie, czy jej się zdaje, że jest jeszcze wśród Carbonarów, którym przewodniczyła? „Nie — odrzekła Viscontini — ale zdaje mi się, że jestem przed inkwizytorami weneckimi.“

Giacinta Luchini, Genuenka, biła się walecznie pod Comida, Crevisi i Vicenza. Giulia Modena niosła chorągiew ochotników weneckich i pod Palmanova trzy razy wstrzymała odwrót, przykładem i słowy zachęcając żołnierzy do walki. Luigia Battistotti i Giuseppina Lazzeroni walczyły w Medyolanie przeciw Austryakom. Dowody męztwa dała małżonka Garibaldiego, Brazylianka Annita; brała ona udział w bitwach przy boku męża i odbyła z nim całą kampanię amerykańską, a następnie część włoskiej, w ciągu której zmarła od febry podczas pochodu przez okolice niezdrowe. Dla upamiętnienia jej czynów, imię jej zostało nadane związkowi republikańskiemu kobiet, który do dziś dnia istnieje. Talentem i pracą służyły sprawie narodowej: poetka Beatrice Mancini i Ernestina Trivulzi. Ta ostatnia założyła szkołę dla chłopców, prowadziła w Paryżu pismo patryotyczne włoskie, pisała dzieła historyczne o Włoszech, a podczas powstania własnym kosztem wystawiła pułk ochotników.

M. Rygier.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Aleksander Krajewski.

Jaka to szkoda, że wielkie i czyste charaktery istnieją tylko w unikatach i że ich mnożyć nie można! Licha książka, która zabarłoży umysły czytelników, rozchodzi się w tysiącach egzemplarzy, a zacny czyn, prawy i szlachetny człowiek pozostaje ciągle jeden i zwykle promienieje w ciasnem kole swych najbliższych stosunków.

Taki żal ogarnia nas wobec trumny A. Krajewskiego. Ten zapomniany z przed kilkudziesięciu laty współpracownik *Roczników gospodarstwa krajowego* i autor wielu artykułów w sprawach wiejskich; ten mało znany tłomacz *Fausta*, *Wędrówek Child-Harolda*, a zarazem całego szeregu dzieł agronomicznych; ta siła literacka pozornie tylko do oddawania cudzych myśli zdolna, a w rzeczywistości bardzo duża i samodzielna; ten umysł wiecznie cieniem czyjejś wielkości zasłonięty, a zawsze niepodległy; ten cichy pracownik, którego samo nazwisko nie było dość wymownym i zrozumiałym dla ogółu wyrazem i z którego nawet wspomnienia pozgonne nie zdjęły całej zasłony, był pięknym i rzadkim klejnotem moralnym naszego piśmiennictwa i życia obywatelskiego. A temu piśmiennictwu i temu życiu w pewnych chwilach więcej potrzeba czystych źródeł, które koją pragnienie omdlałych, niż błyskotliwych gwiazd, które wskazują drogę zbłąkanym. W starości człowiek staje się zwykle próchnem, którego nie ima się ogień nowych idei; Krajewski, przeszedłszy osiemdziesiątkę lat, był do końca zdrowem smolnem drzewem, którego chwytał się każdy prawie silny i czysty płomień. Udane, nigdy nieodczute cierpienia poetów rozbrzmiewają szeroko, a prawdziwe i głębokie bóle cichych bohaterów pozostają nieusłyszane przez świat, jak głosy podziemne. Krajewski nie pisał elegii, a jednakże smutek orał nieprzerwanie jego duszę swym ostrym pługiem. Ale może dlatego tak dobrze ją uprawił pod zasiew szlachetnych ziaren.

Ziemia, która przyjęła dobrego człowieka do swego łona, przyjęła kochającego ją syna.

Władysław Kwietniewski

W końcu ubiegłego miesiąca zmarł w Warszawie człowiek zacny, którego wiedzy gruntownej i pracy niestrudzonej społeczeństwo nasze sporo zawdzięcza.

Urodzony w 1837 r. w Warszawie, Władysław Kwietniewski po ukończeniu miejscowego gimnazyum realnego wyjechał na studya matematyczne do Petersburga. Po powrocie do kraju był przez czas jakiś nauczycielem gimnazyalnym w Płocku i w Piotrkowie, a potem w Warszawie do roku 1888.

Od roku 1867 do 1869 jako docent wykładał w Szkole Głównej mechanikę analityczną, teoryę liczb i rachunek prawdopodobieństwa.

W r. 1885 został dyrektorem stacyj meteorologicznych i na tem stanowisku pracował użytecznie do śmierci.

Po za obrębem zajęć biurowych pisał i tłomaczył wiele.

FEJLETON.

VERBUM NOBILE.

Po zdarciu obić.

Artykuł nasz „Człowiek-gąbka“ był niejako zdarciem obicia w mieszkaniu, które gwałtownie wymagało odnowienia. Obicie, malowane w przyjemne wzory, łudziło umysły niekrytyczne. Długo byliśmy cierpliwi i wyrozumiali, nie zwracając uwagi na osobiste wycieczki skierowane przeciwko nam i przeciwko ludziom pokrewnej nam idei, puszczając mimo ucha potwarze, insynuacye, przygryzki, posądzenia i całą tę podstępną strzelaninę. Ale gdy galicyjskie krzykactwo, które skupiło się w ustach kilku warchołów, zaczęło być w wysokim stopniu szkodliwem dla rozwoju myśli publicznej, musieliśmy nareszcie zakasać rękawy i zedrzeć obicie. Okazało się też natychmiast, że to doprawdy było potrzebne. Skoro bowiem autor obicie to zdarł, zaroiły się ukryte pod niem robaki, które bezpiecznie wierciły ściany, uważając je za uprzywilejowane miejsce dla siebie i za wyłączną swoją własność. Robaki te, wydawszy charakterystyczny skrzek, próbowały się rzucić na autora w kilku krzykackich artykułach, nadesłały do *Prawdy* kilka listów, z których te podpisane były bardzo patetyczne i bardzo naiwne, a te niepodpisane wprost plugawe. Rzecz szczególna! Robaki czyniły skrzek nie w swojej własnej obronie, *ale w obronie rzekomo przez nas naruszonych ścian!* Nie, robaczki, nie otumanicie świata! Właśnie o to chodziło, aby was stamtąd wypłoszyć. I ta rzecz została dokonana. Takich robaków dziś pełno za najpiękniejszemi obiciami, w każdej ścianie narodowej. Wiercą one mury w Anglii, we Francyi, w Niemczech, wiercą i u nas. Ręce nasze *nie ruszyły murów*, tylko odrapały zanieczyszczone ściany, tylko zdarły to obicie, które, pod łudzącemi oko malowankami, zakrywało owe robaki.

Dlatego atak nasz był osobisty, dlatego skierowaliśmy go imiennie przeciw p. Popławskiemu, gdyż on podaje się za głowę nacyonalistów i przez tychże nacyonalistów za taką głowę jest uważany. On, demokrata, systematycznie ostrzeliwał wszystkie placówki demokratyczne Warszawy, zamiast je szanować, lub też w razie koniecznej potrzeby polemizować z niemi godziwie. On, demokrata, przywłaszczył sobie miód pracowitych pszczół Śląska i Galicyi, samozwańczo śród tego roju pszczelnego podał się za królowę-matkę, aby wszystkie prawdziwe, pszczelne robotnice ogłosić za trutnie. On, demokrata, zaczął kokietować partyę stańczykowską i przez usta *Czasu* dostał haniebną odprawę, za co konserwatywno-klerykalny *Dziennik Poznański* zwrócił się nawet z gorzką wymówką do swego galicyjskiego kuzyna, gdyż, według jego zdania, nie odepchnąć, ale przygarnąć należało marnotrawnego syna, skoro nareszcie się zjawia i ofiaruje swoje usługi. On, jedynej pełnej krwi Polak, nazywający wszystkich innych „półpolakami,“ związał się ślubem współpracy z redaktorem *Słowa Polskiego* p. Zygmuntem Wasilewskim, który jest zaiste niestrudzonym pielgrzymem pomiędzy pismami wszystkich odcieni: pomiędzy antysemickim ongi *Głosem* a filosemickim *Kuryerem Warszawskim*, pomiędzy filosemickim (jak się sam w *Głosie* wyrażał) *Kuryerem Warszawskim* a wszechjęzykowym łódzkim wydawcą p. Zonerem, właścicielem *Lodzer Zeitung*, *Łodzińskij Listok* i łódzkiego *Świata*, wreszcie pomiędzy tym kosmopolitycznym, czy też, jak chciał, artystycznym *Światem* a wszechpolskiem *Słowem Polskiem*. Ten prawdziwy motylek stronnictw, który siadał na tylu różach, pożywiał się na tylu klombach, który rozporządza tyloma mównicami, krzyknął przewrotnie: zaatakowano nas w ten sposób, że się *nie możemy* bronić! Nawet tak subtelnie sformułowana kokieterya zawiodła motylka, gdyż niektóre pisma tutejsze, interesujące się sprawą, przedrukowały natychmiast lamenty pana Wasilewskiego i spółki. A spółka ta może być pewna, że gdyby udziałem jej było męczeństwo i bezbronność, to nie bylibyśmy jej nigdy zaatakowali. Ale jeżeli to uczyniliśmy, to *właśnie dlatego*, że się na gruncie galicyjskim zupełnie swobodnie wypowiedzieć mogą. Komu nie uwiędła w mózgu logika i nie zbutwiało sumienie, ten chyba przyzna nam słuszność i wraz z nami nazwie argument p. Wasilewskiego — niedorzecznym.

Ale p. Popławski, demokrata, nie poprzestał i na tym sojuszu. Ostatnią jego zdobyczą jest lwowski *Dziennik Polski* z redaktorem Ostaszewskim-Barańskim na czele. On teraz poczyna rozwijać program nacyonalistów, bronić ich i apoteozować. A tak, jak Ochorowicz przed niedawnym czasem powiedział, że jedynie uczciwi ludzie w Niemczech są hakatyści, gotowi niebawem zakrzyknąć wszechniemieccy posłowie Wolff i Schoenerer: ależ Popławski i Wasilewski swojemu narodowi nic innego nie mówią, tylko to samo, co my naszemu! To bardzo porządni ludzie, no miotają się na nas, bo my miotamy się na nich, oni chcieliby zgarnąć misy całego świata dla siebie i my także! Tu nie rozstrzyga słuszność i logika, tylko silna pięść. My posiadamy pięść silniejszą, ale to są bardzo porządni ludzie, bo występują jak my w imię pięści! Silnej pięści nie boimy się, tylko innych rzeczy, któremi oni nas nie straszą. Tak, to są bardzo porządni ludzie!

Na takie wody nacyonalizm zapragnął pchnąć prom narodowej demokracyi. Więc poszukiwał też i odpowiednich wioślarzy. Nie mógł być wybrednym w wyborze ludzi. Musiał wybierać śród jednostek o zasadach elastycznych, do czego te jednostki nawet otwarcie się przyznają. Muszą się często zasad swych zapierać, jak to pięknie krasi sam Wasilewski, w imię „wspólnych interesów, albo, jak koloryzuje inny obrońca, w imię „ewolucyi zasad.“ Wspólnych interesów — z kim? Z reprezentacyą wielkiej posiadłości Wschodniej Galicyi? Z tymi hrabiątkami i książątkami, którzy do swych latyfundyów zjeżdżają co roku raz na polowanie — oni, demokraci? W imię ewolucyi zasad—w jakim kierunku? W kierunku Wolfów, Schoenererów, Hannemanów, Tiedemannów, Kennemanów? Tak, z tego rodzaju ideowcami trzeba się było rozprawić. Na rzece narodowej demokracyi wystawili sobie młyny; a ktokolwiek odezwie się przeciw tej spółce młynarskiej, tego ogłaszają za człowieka, który rzuca się z czerpakiem *nie na nich, ale na świętą rzekę!* Stara taktyka, która jednak nie zastraszyła uczciwej galicyjskiej demokracyi narodowej, bo warcholstwo tych panów należycie oświetliła i napiętnowała. Więc też *Słowo Polskie* i *Przegląd Wszechpolski*, zaatakowane teraz z naszej strony, straciły przytomność; odpowiedzi ich nie były rzeczowe, ale były zwyczajną łobuzerką. I zaiste! Pisma ideowe, pisma demokratyczne, przeniosły się na chwilę w okolicę stragarów podmiejskich, aby językiem rozindyczonych przekupek odeprzeć cios, wymierzony w ich wodza.

Do tego ataku, który się rozpoczął artykułem „Człowiek-gąbka,“ gotowaliśmy się długo, albowiem warcholstwo, które wtargnęło do narodowej demokracyi i zanieczyściło ją, nie wypowiedziało się odrazu. Dziś, gdy widzimy jasno, iż ludzie ci występują przeciw wszelkiej kulturze, przeciw właściwym hasłom demokracyi narodowej, przeciwko hasłom postępu gromad i jednostek, przeciwko kardynalnym zasadom sprawiedliwości i nawet przeciw uczciwości politycznej, gdy zagospodarowawszy się w Galicyi, wchodzą w wyraźny sojusz z politycznymi karyerowiczami i omszonem wstecznictwem przeciw demokratom, gdy swoje niesłychane krzykactwo podają za Credo demokracyi, a swoją ślepotę za sokoli wzrok proroków, gdy na wszelkiej pracy, dokonanej przez innych, usiłują wybić stempel z napisem „moja wyłączna zasługa,“ gdy najuczciwszych, najbardziej niestrudzonych pracowników obrzucają błotem, gdy po rozmaitych pismach i pisemkach trudnią się donosicielstwem, kalumnią, gdy np. przeciw nam z całą świadomością wyrzucają jadowity donosicielski pocisk, że się opieramy na „obcych żywiołach zagranicznych,“ gdy w dodatku jak faryzeusze stroją się w szaty niepokalanego kapłaństwa narodowego — to wprost obowiązkiem naszym jest zedrzeć z nich te szaty, zedrzeć z ich twarzy maski proroków, zedrzeć z ich drzewców kradzione sztandary i ukazać ich jako zwyczajnych a rzacej nadzwyczajnych deklamatorów, jako szkodników, jako prawdziwych trutniów w naszym ulu pszczelnym, napełniających uszy ludzkie urojoną wiosną, bawiących oczy sztucznymi kwiatami i grzejących serca bengalskimi ogniami pustej frazeologii.

W poprzednim artykule powiedzieliśmy, że człowiek należy do świata, którego budowie dopomaga. I przytoczyliśmy wiekopomne zdanie Słowackiego, iż przed rozpoczęciem podobnej budowy należy sobie przedewszystkiem stawić pytanie, jaką ma być ona. Byle jaką, byle była?

Według nas — nie. Zasadniczą naszą ideą jest to, żeby społeczność nasza przedstawiała możliwie doskonały typ kulturalny, a nie była dziką i łupieżczą hordą, mieszkającą w szałasie z otwartemi naoścież drzwiami. My walczymy nietylko o jej byt, ale o pewien idealny jej byt. My pragniemy nietylko, ażeby nasi potomkowie mogli wylegitymować się od nas w prostej linii, ale żeby byli ludźmi szlachetnymi i światłymi. Jeżeli gdziekolwiek na globie ziemskim jest naród, który marzy o wolności bez ujęcia jej w formy ideałów kulturalnych, to jest on podobny do więźnia, który myśli o przepiłowaniu krat i ucieczce z kryminału, ażeby na swobodzie dogadzać swoim złym instynktom. Czysta, prawdziwa demokracya narodowa nie powinna mieć nic wspólnego z takiemi pragnieniami i dążeniami, z taką polityką Tiedemanów i Schönererów.

Andrzej Niemojewski.

PAMIĘTNIK.

Co to będzie?

Nowe towarzystwo telefonów w Warszawie zakłada druty pod ziemią, obok rur gazowych. Co 50 metrów urządzone są studzienki, t. zw. wyłazy. Otóż, gdy przed paru dniami do jednej z nich przy ulicy Królewskiej miał wejść robotnik z zapaloną lampą, nastąpił gwałtowny wybuch, który wstrząsnął sąsiednimi domami, powybijał w nich szyby i zrujnował chodnik. Toż samo zdarzyło się w okolicach placu Bankowego, ul. Elektoralnej i w ogrodzie Saskim, a tylko zawdzięczać należy wczesnej godzinie, że wypadek przeszedł bez ofiar w ludziach. Ale nic nam

nie ręczy, że on się nie powtórzy i nie będzie miał gorszych następstw. Bo jak się okazuje, rury gazowe są źle spojone, co zresztą można było dawno zauważyć przy wszelkich wykopach, z których zawsze rozchodziła się ostra i dusząca woń. Wobec tego trudno ominąć pytanie: co będzie dalej? Towarzystwo telefoniczne nie usunie już założonych przewodników i nie przestanie zakładać nowych; gaz będzie dalej wydobywał się z rur źle spojonych — czyli każdego dnia możemy się spodziewać nowych wybuchów. Bezpieczeństwo tedy mieszkańców jest poważnie zagrożone, a jego przyczyny niepodobna szukać gdzieindziej, niż w niedbalstwie robót i ich dozoru przy łączeniu rur gazowych. O zrewidowaniu i naprawie ich olbrzymiej sieci nie można myśleć, więc co będzie? Zapewne wyznaczona do zbadania tej sprawy komisya urzędowa wkrótce da nam odpowiedź.

Jubileusz redaktora.

Tygodniowy organ Piotrkowa i jego okolic zakończył świeżo trzydziestoletni okres swej pożytecznej działalności, którą przez okrągłe ćwierć wieku kierował bez przerwy dotychczasowy redaktor i właściciel pisma, p. Mirosław Dobrzański. Zasłużony ten pracownik na niwie publicystyki wymówił się stanowczo od uroczystego obchodu jubileuszowego, wychodząc z założenia, że praca dla ogółu jest obowiązkiem każdego uczciwego człowieka, nie jakąś zasługą szczególną, więc nie należą jej się wyróżnienia nadzwyczajne.

Pogląd w zasadzie słuszny może, niemniej jednak zaznaczyć trzeba, że na prowincyi zwłaszcza niewielu mamy publicystów, pojmujących swe obowiązki społeczne w tak poważny sposób, jak długoletni redaktor *Tygodnia*, i że p. Mirosław Dobrzański nietylko przez lat dwadzieścia pięć wytrwał na zajętem stanowisku, co już jest objawem rzadkim, wobec niezwykle trudnych warunków bytu naszych pism prowincyonalnych, ale co więcej, że zawsze prowadził rzecz swą poważnie i rozumnie, umiejąc ochronić pismo od wpływu koteryjek miejscowych i różnych szakalików prowincyonalnych i uczynił je istotnym rzecznikiem dobrze pojętych interesów szerokiego ogółu; że w wydawnictwo swoje włożył dużo dobrej woli, pracy i zapału, wyrzekłszy się dla niego szerszych aspiracyj literackich, które żywił przed laty, jako utalentowany poeta. A w tem wszystkiem, bądź co bądź, tkwi już coś więcej, niż zwykłe spełnienie obowiązku. *wb.*

Wynagrodzenie nauczycieli.

Spotykamy się często w pismach warszawskich z bardzo ostrą krytyką gospodarki galicyjskiej w szkolnictwie najniższej kategoryi i z utyskiwaniem na nizką płacę nauczycieli. Że w galicyjskich szkołach elementarnych dzieje się źle istotnie, że los tamtejszych nauczycieli ludowych jest opłakany, tego nikt nie zaprzeczy, ale nie zapominajmy o ubóstwie ekonomicznem tej prowincyi i o jej finansowej niemożności lepszego wynagradzania sił nauczycielskich, a następnie przyjrzyjmy się temu, jak o wiele bogatsza Warszawa wyposaża swych nauczycieli w szkołach początkowych. Na prowincyi najmniejsza pensya nauczyciela w miastach wynosi 320 rb., a w miastach gubernialnych od 400 do 600 rb. Prócz tego nauczyciel otrzymuje na prowincyi jeszcze dodatki na opał, światło i utrzymanie porządku w szkole, tak obliczone, że ze swej kieszeni nic już dodawać nie potrzebuje. Tymczasem w Warszawie musi stale dokładać ze swoich i tak już szczupłych dochodów. Na opał i światło magistrat m. Warszawy daje rocznie 60 rb., a magistrat Suwałk — 120 rb.! Nauczyciel w Warszawie ma 400 rb. rocznej pensyi, lecz jeżeli z niej doda do opału 60 rb., a do utrzymania porządku w szkole 40 rb., to pensya jego zmniejszy się o 100 rubli! Pozostanie mu zatem zawiele, aby umrzeć z głodu, ale zamało, aby żyć!

Szczegóły te i cyfry wzięliśmy z listu nauczyciela. *s. w.*

Pomoc lekarska po wsiach.

Od dawna mamy przepełnienie lekarzy w Warszawie, a wielki ich brak na prowincyi, zwłaszcza po wsiach Królestwa Polskiego. Wskutek tego ludność nasza nieleczona ulega coraz większemu zwyrodnieniu, co bardzo dowodnie wykazują pobory wojskowe. Władza państwowa zwróciła na ten niekorzystny stan rzeczy uwagę swoją jeszcze w roku 1897 i wtedy tytułem próby na podstawie rozporządzenia rady państwa wprowadzono w gub. Płockiej organizacyę pomocy lekarskiej dla ludności wiejskiej. Próba miała trwać trzy lata, po których upływie postanowiono zaprowadzić wszystkie zmiany, jakie się okażą w organizacyi niezbędne. Przed rokiem naczelna władza kraju rozpatrzyła istotnie te braki, a wypowiedziawszy swe zapatrywania, poleciła rządom gubernialnym opracowanie na ich zasadzie ostatecznych projektów organizacyi pomocy lekarskiej dla ludności we wszystkich guberniach Królestwa Polskiego. Ponieważ ujednostajnienie zasad organizacyi było rzeczą niełatwą, przeto władza poleciła to zadanie gubernialnym urzędom lekarskim. W tym celu został zwołany do Warszawy zjazd gubernialnych inspektorów lekarskich, który uchwalił pewne zasady dla wszystkich dziesięciu gubernij; ale organizacya nie jest jeszcze ostateczna, gdyż w miarę sprzyjających okoliczności będzie rozszerzana i uzupełniana.

Na zasadzie uchwalonego projektu każdy powiat ma otrzymać po 2 rewiry lecznicze, których ogólna suma na całym obszarze dziesięciu gubernij kraju wyniesie 168; rewirem nazywa się posterunek lekarski w danej miejscowości, składający się z ambulatoryum dla przychodzących chorych oraz z lecznicy na 10 łóżek. Obsługiwać go mają: lekarz, felczer i akuszerka, oraz 3 osoby służby: stróż i 2 kobiety. Lekarz otrzymywać będzie 1,200 rb. rocznej pensyi, bez mieszkania, felczer 300 rb. z mieszkaniem, akuszerka 260 rb. rocznie z mieszkaniem. Prócz lecznicy i ambulatoryum, w tym samym budynku ma być pokój dla lekarza i apteka.

Takie posterunki mają być urządzone tylko w większych zbiorowiskach ludności, a przytem tylko w tych osadach lub miasteczkach, gdzie niema stałych szpitali. Koszt utrzymania jednego posterunku lekarskiego oceniono w przybliżeniu na 5,150 rb. rocznie, nie licząc jednorazowego wydatku na urządzenie. Pomijamy niektóre pozycye budżetowe, związane z istnieniem i kosztem utrzymania przez skarb tych posterunków lekarskich, ponieważ chodziło nam tylko o danie zarysu organizacyi, potrzebnego do zrozumienia charakteru pomocy lekarskiej, jaką nasz lud ma niebawem w całym kraju otrzymać.

Znaczenie tych posterunków lekarskich, o ile będą prowadzone należycie, jest ogromne; z jednej strony bowiem dla młodych lekarzy otwiera się szersze pole praktyki poza Warszawą, która ich wszystkich utrzymać nie jest w stanie, z drugiej zaś — ludność wiejska, mogąc się leczyć dobrze za darmo lub prawie za darmo, nabierze kulturalnego zwyczaju uciekania się w potrzebie do doktora i człowieka nauki a nie do znachora, wskutek czego podniesie się zarówno stan zdrowotny jak i ogólno-kulturalny. *w.*

W sprawie emigracyi.

Są u nas sprawy ważne i doniosłe, o których się nieustannie pisze, wykazując niezbędną potrzebę co najrychlejszego ich załatwienia, a mimo to sprawy te nie posuwają się ani o krok naprzód. Do takich należy pomiędzy innemi sprawa emigracyi, która domaga się coraz natarczywiej systematycznego i planowego załatwienia. Należałoby zająć się przedewszystkiem uzyskaniem dla włościan ułatwień paszportowych, albowiem istniejące utrudnienia emigracyi nie wstrzymują i nie zmniejszają, a są tylko źródłem obłowu dla niesumiennych agentów emigracyjnych. Możemy przypuszczać, iż odpowiednie przedstawienie do władzy spotkałoby się z życzliwem przyjęciem, ponieważ w istocie swej nie zmieniałoby wcale *status quo*, a tylko nadawało formy prawne istniejącemu stanowi rzeczy, ułatwiając niemożliwą dzisiaj a potrzebną kontrolę. Następnie konieczną byłoby rzeczą przeprowadzić kompletną organizacyę prądu emigracyjnego i ująć go w ręce przez udzielanie potrzebnych wyjaśnień, utrzymywanie stosunków z kompaniami okrętowemi, sprzedawanie na miejscu biletów, posiadanie swych agentów w portach europejskich i amerykańskich, słowem przez pośrednictwo i opiekę nad biednym chłopem polskim, zapobiegając oszukiwaniu go i nieuczciwemu werbunkowi. Powinniśmy się tem zająć z pobudek czysto obywatelskich; ale moglibyśmy przy tem i zarobić nieźle, bo to dobry interes, który przyniósłby niewątpliwie znaczne dochody, odbierając je niesumiennym spekulantom. *w.*

Emerytury robotnicze.

Sprawa zabezpieczenia robotników w starości, którą rozpatruje w Petersburgu specyalna komisya, zwołana przy Towarzystwie popierania rosyjskiego przemysłu i handlu, została przynajmniej w zasadzie rozstrzygnięta pomyślnie dla warstwy robotniczej. Na posiedzeniu 11 grudnia r. z. zapadła uchwała: komisya uznaje za konieczne przymusowe i powszechne ubezpieczenie państwowe robotników na starość i przechodzi do szczegółowego rozpatrzenia tej kwestyi.

Uchwałę tę, przyjętą 40 głosami przeciwko 3, poprzedziły wyczerpujące referaty pp. Dellendorfa i Aleksandrowa, oraz ożywione rozprawy. Rozpatrywano jednak przeważnie kwestyę robotników fabrycznych, prawie pomijając czeladź rzemieślniczą, robotników wiejskich, służbę domową i inne kategorye proletaryatu. Czy, i o ile powszechność, wyrażona w powyższej uchwale, będzie zastosowana do tych grup, wykaże dalszy przebieg rozpraw. *m.*

Ochrony wiejskie.

Kwestya dziatwy wiejskiej, pozostawionej bez dozoru wówczas, kiedy rodzice zajęci są robotami w polu, była rozpatrywaną w prasie, od dawna już nawołującej do zakładania ochronek po wsiach. W początkach grudnia kwestyę tę ze strony prawno-administracyjnej poruszył *Warsz. Dziennik*, załączając przepisy, których obowiązkowo przestrzegać należy przy zakładaniu ochronek.

Pozwolenie na otwarcie ochronki wydaje gubernator. Założyciele obowiązani są zawiadamiać miejscową władzę policyjną o tych, którym ma być powierzona opieka nad dziećmi, a osoby uznane za nieodpowiednie, muszą być na żądanie władz niezwłocznie wydalone. Wiek dzieci, przyjmowanych do ochron, ogranicza się do lat siedmiu. W każdej ochronie musi być księga do zapisywania dzieci przychodzących. Żadne nauki szkolne, ani ustne, ani piśmienne z książek lub kajetów, w ochronie nie są dozwolone, i w razie ujawnienia odstąpienia od tego przepisu, osoby winne potajemnego nauczania, oraz założyciele pociągani będą do odpowiedzialności w drodze administracyjnej.

Co do urządzenia wewnętrznego ochrony kierują się instrukcyą dla ochron Warsz. Tow. Dobr. Najbliższy nadzór nad ochronami należy do naczelnika powiatu i naczelnika straży ziemskiej, komisarza do spraw włościańskich, naczelnika dyrekcyi naukowej i inspektora szkół ludowych. W gub. Lubelskiej i Siedleckiej wolno zakładać ochrony tylko na zasadzie przepisów specyalnych. *d.*

Jak pogodzić filantropię z oszczędnością?

Naród nasz znany z lekceważenia grosza i lekkomyślności, od pewnego czasu zaczyna być oszczędny. Przykładem zaś na tem polu świeci już oddawna kolej Warszawsko-Wiedeńska, która teraz właśnie odpowiedziała czynem, na postawione w nagłówku pytanie. Oto, jak donosi *Kuryer Sosnowiecki*, w Zagłębiu pewna ilość dzieci służby niższej na tej linii uczyła się w szkołach początkowych na koszt kolei. W roku zeszłym kolej dokonała doniosłej reformy, nie zwiększając bowiem „etatu“ swoich stypendystów i stypendystek, zredukowała opłatę za naukę tychże do połowy, drugą połowę pozostawiając do opłacenia rodzicom.

Skutki tego nie dały na siebie długo czekać. Chociaż wielu z niższych oficyalistów zarabia 15 do 18 rb. miesięcznie, lecz z sumy tej, przy ich rozrzutnem życiu nie można już wykroić kilkorublowej opłaty za naukę dziecka, i „etaty“ uszczęśliwionej reformą dziatwy stoją pustkami (np. w jednej ze szkół na 30 etatów jest zajętych 4). Suma, przeznaczona na zapomogi w kształceniu dzieci niższych oficyalistów, przeniesiona będzie zapewne do rubryki „zaoszczędzone.“

Mamy ekonomistów! *m.*



Z dziedziny socyologii.

—❖—

Coraz szerszem korytem płynie literatura socyologiczna. Ale też w liczne i różne rozdziela się strumienie i ramiona. Coraz trudniej jednym poglądem ogarnąć cały jej obszar, a co gorsza, wobec różnorodności przedmiotów, rozważanych pod nazwą socyologii, coraz trudniej zdać sobie sprawę, co to jest socyologia, co do niej należy, a co już przekracza jej granicę. Niemałą więc przysługę oddał nauce socyolog amerykański, Lester Ward, podjąwszy się ułatwić nam pogląd na cały obszar socyologii współczesnej i oryentowanie się wśród licznych jej gałęzi. Uczynił to w szeregu artykułów, zamieszczonych w *American Journal of Sociology*, w pierwszej połowie roku ubiegłego. A wziął się do tego praktycznie, jak Amerykanin. Nie wdając się w rozbiór pytania, „co jest socyologia, czem do znudzenia karmią nas roczniki paryskiego instytutu socyologicznego, przystępuje odrazu do kolejnego przedstawienia wszystkich gałęzi poszukiwań i trudów, występujących pod nazwą socyologii. Ten przegląd jest bardzo pouczający i znakomicie osiąga zamierzony cel oryentowania nas wśród chaosu różnorodnych prac „socyologicznych.“

Socyologia, powiada Ward, występuje po pierwsze jako filantropia. Wielka masa publiczności skłonna jest w istocie widzieć w Socyologii jakąś akcyę ratunkową ludzkości. Starania o polepszenie doli robotników, o wybudowanie tanich mieszkań, założenie różnych ochron itp., to wszystko szeroki ogół uważa za „Socyologię.“

Po drugie, socyologia jako antropologia. Nie ulega wątpliwości, że pod naukę o człowieku dadzą się podciągnąć także poszukiwania o zbiorowościach ludzkich, o formach społecznych. Ściśle jednak biorąc, antropologia jest nauką o człowieku, jako jednostce, o przymiotach *jednostki*, nie zaś o naturze i rodzajach społeczeństw. Powstał w Europie wybitny kierunek tej szkoły antropologiczno-socyologiczny, który pod przewództwem Francuza (Lapouge'a) wyrodził się w „teutonolatryę,“ tj. w naukę o wyższości typu germańskiego nad wszystkimi innymi typami antropologicznymi.

Po trzecie, socyologia jako biologia. Ten kierunek ma najwięcej przedstawicieli, a w ich liczbie najznakomitszych myślicieli. Zapoczątkował go sam August Comte, twórca socyologii nowożytnej. Słusznie Lester Ward przypomina ustęp z „Filozofii pozytywnej,“ wydanej w r. 1838, gdzie Comte porównywa zmiany społecznego „ustroju“ do zmian ustrojów zwierzęcych, tłomacząc jedne i drugie działaniem sił fizycznych. Za nim poszedł Herbert Spencer, który w „Statyce społecznej“ (1850) podnosi „ścisłą analogię między zjawiskami organicznemi a społecznemi.“ Za tymi dwoma koryfeuszami poszła cała gromada socyologów niemieckich i francuskich aż do najnowszego czasu, tworząca tak zwaną szkołę „organików“ (Bluntschli, Schäffle, Lilienfeld, Worms, de Greef, a także i Nowikow).

Ciekawy jest szereg cytat, przywiedziony z tych socyologów-ustrojowców. „Człowiek jest komórką społeczną,“ powiada Spencer. „Komórką społeczną jest para ludzka, tj. mężczyzna i kobieta,“ powiada Worms. „Jednostką społeczną jest rodzina,“ powiada Schäffle. „Urządzenia społeczne są członkami ciała społecznego, np. akademie umiejętności są oczami,“ powiada Lilienfeld. „Ruch towarowy, to niby krążenie krwi,“ według Spencera, a „handel wywozowy przedstawia pokarm niestrawiony,“ według Lilienfelda itd. itd. Że wszystkie takie mniej lub więcej udatne pomysły nie mają wartości naukowej, tego chyba dowodzić nie trzeba.

Po czwarte, socyologia jako ekonomia polityczna. Poglądy socyologiczne do ekonomii politycznej wprowadził pierwszy Adam Smith, zauważywszy, że „interes współdziałających w jakiejkolwiek gałęzi handlu lub produkcyi jest zawsze różny, albo wprost przeciwny, niż interes publiczności.“ Stąd wynikły z czasem dwa różne poglądy na gospodarstwo społeczne: punkt widzenia *wytwórcy* (producenta) i punkt widzenia spożywców (konsumentów). Stuart Mill wyklucza ten ostatni z ekonomii politycznej, która, według niego, nie ma nic do czynienia z konsumcyą i zajmuje się tylko produkcyą dóbr. A zatem teorya konsumcyi wymagałaby jakiejś innej nauki: miałażby nią być socyologia? Mogłoby się tak zdawać, zwłaszcza że ekonomia polityczna nie wahała się uznać *egoizmu* za jedyną sprężynę działającą w dziedzinie produkcyi i handlu, podczas kiedy nauka o spożywaniu dóbr powodowała się względami na wielką masę ludności i zaczęła przebąkiwać o *altruizmie*. Tak więc ekonomia polityczna zaczęła wkraczać w dziedzinę socyologii: Punktem wyjścia socyologii jest *dobro ogółu*, o czem pierwotnie ekonomii politycznej ani się śniło. Czy te dwa stanowiska można jednak połączyć w jednej nauce, czy też „kwestye społeczne“ winny być może odłączone od ekonomii politycznej i stanowić przedmiot osobnej nauki — Socyologii?

Po piąte, socyologia jako filozofia historyi. August Comte był przekonany, że trzebaby wydarzenia historyczne w taką zestawić całość, aby z niej można wyczytać prawidłowe reguły dziejowe, na których znowu postawić dałaby się odgadnąć przyszłość. Takie traktowanie dziejów ludzkich stanowiłoby właśnie Socyologię. Ale próba Comte'a stworzenia *takiej* Socyologii nie udała się. Na polu historyozofii uniósł go szowinizm francuski, jak Hegla w podobnej próbie szowinizm niemiecki. U Comte'a dzieje ludzkości, jako najpiękniejszy kwiat, wydały Francyę, jak u Hegla cała przeszłość historyczna wysiliła się, aby zrodzić — Prusy. Takie konstrukcye historyozoficzne nie są nauką, a tem mniej socyologią. Następcy ich w tym kierunku nie byli szczęśliwsi.

Po szóste, socyologia jako całość nauk społecznych. Zwątpiwszy o socyologii, jako osobnej nauce, chciano znowu widzieć w niej encyklopedyę wszystkich nauk społecznych. Na ten pomysł słusznie Lester Ward odpowiada, że socyologia nie jest *zbiorem* nauk społecznych, ale raczej uogólnieniem ich wyników. „Socyologia jest integracyą, czyli syntezą rezultatów wszystkich nauk społecznych.“ Pojedyncze nauki społeczne są tylko danemi, na których wznosi się socyologia. Dostarczają one tylko materyału dla socyologii, która nim się posługuje, do sformułowania swych uogólnień.

Po siódme, socyologia jako opis faktów (i stanów) społecznych. Kierunek ten, popierany przez Le Playa, czyni z socyologii rodzaj demografii. „Ale opisywanie faktów i stanów, powiada L. Ward, nie jest nauką, tylko jej przygotowaniem.“ Nauka bowiem polega na pewnem uporządkowaniu, zestawieniu faktów w pewnej myśli; na wydobywaniu z nich ogólnych prawideł rozwoju. Wszelki opis jest analityczny, gdy socyologia, jak każda prawdziwa nauka, jest syntetyczną.

Po ósme, socyologia jako teorya stowarzyszeń. I ten kierunek ma licznych zwolenników, zwłaszcza między socyalistami. Niektórzy z tych teoretyków rozszerzają pojęcie stowarzyszeń tak daleko, że obejmują niem wszystkie gromadnie żyjące zwierzęta (Espinas). W istocie zaprzeczyć się nie da, że w stowarzyszeniach ludzkich muszą tkwić te same zasady, które skupiają gromady zwierząt, i o tyle teorya stowarzyszeń może obejmować odpowiednie zjawiska świata zwierzęcego i ludzkiego. Jedną z takich zasad jest poczucie gatunkowe. Objawia się ono w łączeniu się „równego z równem,“ tj. istot tego samego gatunku z sobą. Socyolog amerykański, Giddings, powiada w tym względzie: „najpierwotniejszym faktem społecznym jest poczucie gatunkowe.“ Poczucie to w świecie zwierzęcym działa więcej instynktowo, w świecie ludzkim— więcej świadomo. Łączy ono między ludźmi tylko grupy szczupłe, jako to: hordy pierwotne, szczepy, klany itp. W stosunku do obcych grup społecznych przejawia się ono jako nienawiść. Edmund Perrier rozważa przedmiot ten w dziele, zatytułowanem: „Rola stowarzyszeń w świecie zwierzęcym i u ludów pierwotnych“ *). Również książę Krapotkin poświęcił szereg artykułów „Wzajemnej pomocy między zwierzętami i u ludów dzikich.“ Takie związki społeczne są ważnymi czynnikami w walce o byt i mają wpływ na pożycie zdolniejszych, czy silniejszych. Trudno zaprzeczyć, że badania, prowadzone w tym kierunku, stanowią najważniejszą może treść socyologii.

Po dziewiąte, socyologia jako podział i organizacya pracy. Socyolog francuski, Durkheim, widzi w zbiorowościach społecznych głównie „organizacye podziału pracy“ i napisał pod tym tytułem dzieło **). Kładzie on nacisk na cel stowarzyszeń, którym jest podział pracy, a im doskonalszym staje się ten podział, tem większy

*) Edmund Perrier: *Le rôle de l'association dans le règne animal et chez les peuplades primitives.*

**) *De la division du travail social: étude sur l'organisation des sociétés superieures.*

jest postęp cywilizacyi. Między podziałem bowiem pracy a postępem zachodzi i ten związek, że im doskonalszym staje się pierwszy, tem więcej każda jednostka pracuje dla towarzyszów, dla bliźnich, dla całej ludzkości — w czem występuje coraz dobitniej *altruizm*, a zatem postęp cywilizacyi.

Po dziesiąte, socyologia jako badanie praw naśladownictwa. Znakomity filozof francuski Gabriel Tarde wykazał, że można zbudować system socyologii, śledząc wyłącznie „prawa naśladownictwa" (*les lois de l'imitation*). System Tarda obejmuje wszystkie objawy życia społecznego i tłomaczy je wszystkie wrodzonym człowiekowi popędem naśladownictwa. Nie jest on jednak wolny od pewnej przesady. Jeżeli powiada, że „społeczeństwo jest naśladownictwem, a naśladownictwo jest rodzajem sonambulizmu;" że „przedmiotem historyi są jedynie skutki (dzieła) naśladownictwa;" że „najwyższem prawem naśladownictwa zdaje się być tendencya do bezgranicznego postępu," to abstrakcyjne te zdania, w których dużo jest sprytu, przypominają jednak żywo metodę heglowską. Podobnie też jak Hegel zawsze i wszędzie widzi swoje „tezy, antytezy i syntezy," i Tarde operuje bezustannie swojemi „repetycyami, opozycyami i adaptacyami." Jest to wszystko bardzo sprytne, ale czy to jest droga do stworzenia socyologii, jako konkretnej nauki, o tem wątpić można.

Po jedenaste, socyologia, jako bezwiedny przymus społeczny. Kierunek ten przypomina Hartmana „filozofię bezwiedzy" (*Die Philosophie des Unbewussten*). Miejsce „naśladownictwa" Tarde'a zajmuje tutaj przymus społeczny, któremu ulega jednostka bezwiednie i za pomocą którego William Carpenter w swoich „Zasadach Fizyologii umysłowej (Nowy Jork 1875) tłomaczy wszystkie zjawiska społeczne.

Temu bezwiednemu przymusowi podlega jednostka najprzód w rodzinie, potem w swojem środowisku społecznem. „Zwyczaj, który ma siłę prawa," powiada Carpenter, „tak się wkorzenia w ustrój ludu czy klasy społecznej, że się staje drugą ich naturą." Całe życie społeczne może być bezwątpienia rozpatrywane, jako skutek takich „społecznych imperatywów" i system Socyologii da się ułożyć, jako szereg wyników tego „przymusu społecznego."

Po dwunaste, socyologia jako walka ras. Na samym końcu omawia Lester Ward kierunek, który za główną, prawie wyłączną treść socyologii uważa „walkę ras." Zastrzega się przy tem, że nie dlatego o kierunku tym mówi na samym ostatku, żeby go uważał za najpodrzędniejszy lub mniej ważny, niż poprzednie. Przeciwnie, uważa on ten kierunek, jeżeli tylko zostaje rozwinięty do ostatecznych swych konsekwencyj, za najprzydatniejszy do wytworzenia prawdziwie naukowej socyologii, przydatniejszy, niż wszystkie poprzednie. Jednym z najwybitniejszych przedstawicieli tego kierunku jest G. Ratzenhofer, który go rozwinął i uzasadnił w pomnikowem dziele „Istota i cel polityki, jako część socyologii i podstawa nauk politycznych" (1893) *). „Dzieło to, powiada Lester Ward, głęboko filozoficzne i prawdziwie klasyczne, stanowi najważniejszy przyczynek do wytworzenia samodzielnej nauki socyologicznej ze wszystkich, jakie się pojawiły w ostatniem dziesięcioleciu." O samej zaś treści socyologii Ratzenhofera Lester Ward mówi: „Ratzenhofer kreśli cały proces społecznej asymilacyi przez następujące po sobie najazdy i ich następstwa, jako to kasty, nierówność, prawo, państwo, lud i naród. Jakkolwiek te fazy rozwoju nie wyczerpują jeszcze całego dzieła asymilacyi społecznej, stanowią jednak tak szeroką jej część, tłomacząc wszystkie starożytne cywilizacye i stosując się do wszystkich dzisiejszych narodowości europejskich, że teorya o walkach ras służyć może za klucz do rozwiązania zagadek całego ogromu dziejów ludzkich.. Teorya ta jest pierwszą prawdziwie naukową próbą wytłomaczenia zjawisk politycznych od samego początku państw aż do dzisiejszego ich stanu..."

*) *Wesen und Zweck der Politik als Theil der Sociologie und Grundlage der Staatswissenschafts*. Leipzig, Brockhaus, 1893.

Kończąc ten przegląd różnych kierunków socyologii współczesnej powiada L. Ward: „Wszystkie te kierunki podobne są do strumyków płynących w jedną stronę i wpadających do jednej wielkiej rzeki, którą będzie kiedyś nauka socyologii, jeżeli raz minie okres dziesiejszej *myopii* społecznej."

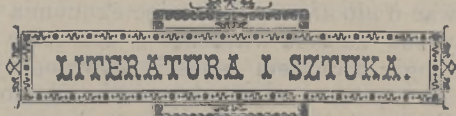
Te ostatnie słowa charakteryzują dobrze stanowisko Lester Warda wobec socyologii dzisiejszej; uważa on ją bowiem za znajdującą się jeszcze w powijakach. Ciekawem jest także, że w Ameryce studya socyologiczne zajmują dziś coraz szersze miejsce w literaturze i na uniwersytach, kiedy w Europie zaledwie w kilku uniwersytetach włoskich i francuskich nauka ta wywalczyła sobie skromne stanowisko. Największa zaś liczba uniwersytetów europejskich, a zwłaszcza niemieckie, nie przyznaje jej jeszcze równouprawnienia z innemi naukami. Dopiero w ostatnim roku publicystyka naukowa niemiecka zaczyna nią się zajmować. Lipski kwartalnik filozoficzny wydawany przez prof. Bartha (*Vierteljahrschrift für wissenschaftliche Philosophie*), dopiero w ostatnim półroczu do dawnego tytułu swego dodał słówko *und Sociologie* i przyznaje się do nowej nauki; inne zaś czasopismo, wydawane w Eisenach przez dr. Woltmana, jakkolwiek według programu jest czysto *socyologiczne*, aby uniknąć prowokacyi niechętnych socyologii kół uniwersyteckich wolało nazwać się „Przeglądem polityczno - antropologicznym" (*Politisch-Antropologische Revue*).

Prof. Ludwik Gumplowicz.

NOTATKI NAUKOWE.

— Dr. E. Aveling: *Teorya Darwina*. Warszawa, 1903. Skład główny w Księgarni Naukowej, Krucza 44.

Teorya Darwina w swej pierwotnej formie należy do historyi: nauka poszła już dalej pod niejednym względem, zmieniając wyniki, jakie osiągnął Darwin. Ale te zmiany nietylko nie obaliły wniosków, do jakich doszedł genialny badacz angielski, lecz przeciwnie oparły je na mocniejszych jeszcze i trwalszych podstawach. Każde nowe odkrycie naukowe jest przyczynkiem do teoryi Darwina, która przestała już być hypotezą a nabrała charakteru pewnika naukowego. Książka Avelinga ma na celu zapoznanie z nowemi zdobyczami naukowemi, zmierzającemi do udowodnienia i utrwalenia tej teoryi. To też przekład polski tego dzieła należy zaliczyć do nabytków pożądanych naszej literatury naukowej; razi tylko zaniedbana korekta.



POEZYA I RYMY.

Zygmunt Różycki: *Tęsknota*. Warszawa, 1902. Jerzy Orwicz: *Poezye I*. Warszawa, 1902.

Przy końcu roku ubiegłego ocenialiśmy tu obszerniej twórczość Edwarda Słońskiego. Obecnie, przerzucając karty zbiorku p. Zygmunta Różyckiego, doznawaliśmy niejednokrotnie wrażenia, że w nowego tego poetę weszła dusza poprzedniego. Podobieństwo istnieje w zasadniczym tonie, gdyż tę samą widzimy tu wrażliwość na senne szmery, blade połyski, na „melodyę zmierzchów"; tę samą poezyę wspomnień, loty „błękitną księżycową drogą" po srebrnej nici marzenia," tę samą zdolność rozpływania się w nieb błękitnej chmurze, zdolność unoszenia się na skrzydłach zadumy i przesycania tęsknotą wszystkiego, czego się tknie wyobraźnia poety. „Otwieram okno... cicho, szaro, Przede mną leży oddal sina, A hen... za złotych snów kotarą Słyszę tęskniący płacz pianina... A tam na dworze zmrok zapada, Wiatr o milczące szyby dzwoni, I za czemś tęskni dusza blada, I za kimś smutna wiecznie dzwoni... I cień się żalu milczkiem wkrada Do mojej cichej, biednej chaty, I coś mi szepce, coś mi gada I zwiędłych wspomnień rzuca kwiaty... I duch w przestrzeniach się rozpływa... Nic już nie czuje... nic nie słyszy. I tylko kwiaty marzeń zrywa Na łanach jakiejś wielkiej ciszy..." Poeta przebywa chętnie w zaczarowanej, sennej krainie, otacza się widziadłami swej rozkołysanej wyobraźni, które, zaklęciem powołane do życia, unoszą się nad nim, przybierają widome, dotykalne kształty. Z oparów sennych tyś powstała, Taka srebrzysta, taka biała, Taka promienna i powiewna, Gdyby zamknięta w snach królewna." A miłość — czemże jest, jeśli nie cudownym, rozmarzającym snem? „Mówią mi wiecznie twoje oczy, Że jest kraj senny i świetlany, Gdzie księżyc srebrny blask swój toczy, Na upojone ciszą łany..." A oto w perspektywie ukazują się nam te gaje czarodziejskie, w które wchodzi upita ciszą dusza poety: „Mój duch na kwietne chodzi łąki i nad uśpione mknie krynice, Gdzie róż mistycznych cudne pąki Ł zucają dziewy srebrnolice. Przez wiotkie, senne idzie trawy, Objęty dziwną jakąś ciszą, wiecznie tęskniący, wiecznie łzawy, A nad nim gwiazdy senne wiszą..."

Z przyjemnością musimy zaznaczyć, iż większość utworów sprawia korzystne wrażenie. Niema tu tej jednostajności stylowej, która nuży niekiedy w utworach Słońskiego. Gdy tam co parę wierszy wciąż się się przewala „ogromnych tęsknot fala," tu autor roztacza przed nami coraz to nowe krajobrazy i widoki, tylko otulając je welonem tęsknego zamyślenia; umie on wcielić swój smutek rozmarzony w różnego rodzaju pomysły, i pomysły te do pewnego stopnia urozmaicać. Inaczej mówiąc, wyobraźnia jego jest bardziej plastyczna i twórcza, niż autora „Nocy," jakkolwiek w jaskrawszych barwach się nie nurza.

Ale i jemu grozi to samo niebezpieczeństwo: utonięcie w monotonii. Melancholia, niewiadomo skąd płynąca i „w nieskończenie"(!), jak się wyraża autor, tocząca swe fale, nie może być wyłączną treścią poezyi, chociaż stanowić może właściwość jej stałą. Czy p. Różycki ustrzeże się grożących mu raf? Będzie to zależeć od głębokości tych prądów energii duchowej, które przezeń przepływać będą, od samorzutności i mocy jego pracy wewnętrznej. Jeśli zaś biernie zasklepi się w marzeniu... ha!

Pracę zaś, o której wspomnieliśmy, wyobrażamy sobie, jako czynne i nieustanne wzbogacanie swej duszy i przetapianie nabytej treści w twór samoistny; nie sądzimy bowiem, by w tajemniczych głębinach ustroju poetyckiego spoczywały pokłady jakichś szczególnych skarbów, niewiadomo kiedy i jak tam złożonych, i by czynny wysiłek poety miał się ograniczać jedynie do wyłamywania drogocennego, gotowego kruszcu z ukrytych kopalń. A są pod tym względem u p. Różyckiego ustępy wielce niepokojące. „Dziś spojrzałem w mej duszy czarodziejski parów, Bo pragnąłem z jej głębin, dotąd niezbadanych, Wyrzucić temu światu mnóstwo pysznych czarów." Za-

miast tego znajduje w podziemiach „straszne pożary,“ „burze rozkiełznane,“ które ucisza „gromem potężnego słowa.“ Co to ma znaczyć, zupełnie niewiadomo. Kiedyindziej poeta czuje w sobie „szał twórczy,“ czuje „potęgę straszną, rozszalałą.“ Rzeczy takich niewiele, ale są. Istotnej, żywiołowo wybuchającej potęgi, namiętności itp. niema w natchnieniach poety ani odrobiny; więc huczące gromy lub — dla odmiany — ociekające krwią serce — wzbudzają nieufność, każą podejrzewać, iż poecie zbraknąć może niezbędnego warunku poezyi lirycznej — szczerości. Utwory tego rodzaju wydawać się muszą nie wylewem naturalnym duszy, pełnej dźwięków i wrażeń, lecz robotą, na efekt obliczoną. Usprawiedliwić zbytni zapęd może w takich razach jedynie młodzieńcza pobudliwość na oddziaływanie zewnętrzne. Istotnie, czy to nie pod wpływem „Snów o potędze“ Leopolda Staffa ogarnął p. Różyckiego „szał twórczy“? Przynajmniej w podobny do niego sposób zabiera się p. R. niekiedy do roboty rzeźbiarskiej i złotniczej. „Wykułem sobie serce ze szczerego złota, Rozsiałem na niem hojnie perły, ametysty i cicho je schowałem pod klosz piękny, szklisty.“

Z pracowni tej, gdzie skrzy się złoto i połyskują rozsypane wokół ametysty i perły, przenieśmy się do skromnego pokoiku, gdzieś na ustronnej ulicy. Tam czyjaś postać, nad stolikiem schylona, haftuje prostym ściegiem niewyszukane desenie o barwach nieco może wypłowiałych. Kto zna wierszowaną powieść J. Orwicza (pseudonim), komu nadto wpadły do rąk dość słabe zresztą nowelki tegoż autora, ten przyzna po uważnem przeczytaniu niniejszego zbiorku jego „Poezyj,“ że poeta pozostaje zawsze sobą, że jego oblicze duchowe uwydatnia się wyraziście w nikłych nawet rzeczach. Parę rysów zasadniczych zawsze na obliczu tem wyczytamy. Jeden — to głęboko wrośnięte w duszę poczucie obowiązku, to przeświadczenie, iż „każdemu na tym świecie ogniwem być dano, Byle każdy spełnił wiernie, co mu przykazano.“ Drugi rys uwydatnia się w dziedzinie uczuć najbardziej osobistych. Dusza cichego śpiewaka — to dusza spragniona wiosennej pogody i jasnych blasków. W snach się jej jawią obrazy jakiejś szczęśliwej wyspy, zacisznego kącika, gdzie do tułacza przyjazne wyciągają dłonie, gdzie serdeczne uśmiechy wykwitają na twarzach. Dusza ta, „czasem jak ten kwiatek, co wiosną się budzi, Pragnie ciepłych promieni, i blasków, i słońca, I taka jakaś wtedy cicha i marząca... Szuka pieśni, uśmiechu i serca u ludzi... Ale ta wizya, chociaż jest tęsknotą, nie jest dążeniem w fantastyczne światy. Nie marzenie, lecz spokojna rozkosz chwili obecnej — oto, co jest dla poety rzeczą cenną. Okaże się to i w stosunku jego do przyrody. „Czy możesz — woła —, patrzeć obojętnie, Na jasne nieba tego stropy, Na życie, co w każdem bije tętnie, Na wieczną pracę Penelopy? Kiedy natura niestrudzona W źdźbło każde, w kwiatek wlewa siły, I niby pająk z swego łona, Wysnuwa życia bieg zawiły?.. Myśl swą *w fantazyi* ślesz obszary I słuchasz duszy drgań namiętnie, Zaliż na *świata tego czary* Ty możesz patrzeć obojętnie?“

Po za tem w zbiorku J. Orwicza znajdujemy garstkę wrażeń, które się wcieliły w pomysły, niezbyt oryginalne, wylały się w refleksye niezbyt głębokie, a wyrażone zostały stylowo niezręcznie i bezbarwnie. Gdy jednak oglądam się za ustępami, któreby słowa powyższe usprawiedliwiły i zilustrowały, spojrzenie moje pada na wiersz, zamykający książkę, i już nie mam chęci zatrzymywania się na stronach ujemnych, wykazywania, jak niepewne, drżące, zgłuszone tony ulatują z lutni J. Orwicza. Nie mamy chęci, gdyż naraz dotknęliśmy tego, co cenimy zawsze najwyżej: żywego, czującego serca. Bo posłuchajcie tylko: „Mnie nie przeraża mrok cmentarny, Ni snu wiecznego tajemnica... Ale gdy spojrzę w przeszłość całą, W duszę się smutek wkrada czarny, Że nic, nic po mnie nie zostało! Dorobek życia taki marny! *I nikt już nigdy się nie dowie, Jak świat kochało serce biedne*, Jakie się myśli snuły w głowie... Zgaśnie to życie blade, szare, Zgaśnie bez śladu, bez wspomnienia, Złożone cicho na ofiarę Niewiadomego przeznaczenia!..“ Na tę rzewną skargę możemy odpowiedzieć własnemi słowami autora, iż „gdyby tak na losów szali zważyć wszystkie czyny I ocenić wspólną pracę wszechludzkiej drużyny, Tam, gdzie każdy według zasług nagrodę otrzyma, Mrówcza praca tak zaważy, jak dzieło olbrzyma...“

A. Drogoszewski.

Sztuka polska w Wiedniu.

Wiedeń, 29 grudnia.

Wczoraj została zamknięta zwykła, jesienna wystawa w Secesyi wiedeńskiej, w której wziął udział krakowskie towarzystwo polskich artystów „Sztuka.“ Dla siedemdziesięciu dzieł dwudziestu pięciu polskich malarzy i rzeźbiarzy oddano całą osobną salę — w ten sposób sztuka nasza przedstawiła się bez pretensyi do historyczności, do odzwierciedlenia rozwoju, lecz piękniej i lepiej, niż na wystawie „retrospekcyjnej,“ urządzonej przed dwoma, czy trzema laty w Paryżu przez polskie Towarzystwo artystyczno-literackie, a nawet powiedziałbym, niż na paryskiej wystawie międzynarodowej, w tłumnie zwiedzanym „Grand Palais,“ gdzie widzieliśmy, jeśli nas pamięć nie myli, parę dzieł, nadesłanych tym razem znowu do Secesyi, jak np. portret rodziców Weissa.

Na olbrzymim jarmarku paryskim sztuka polska prawie niczyjej nie zwróciła uwagi; tu zaś sala artystów naszych cieszyła się wielkiem powodzeniem, wyróżniona została zaszczytnie przez publiczność, i przez krytykę wśród innych części składowych wystawy: dzieł artystów miejscowych, francuskich, skandynawskich i niemieckich, bynajmniej niepospolitych, i trzeba przyznać, że uznanie to było zupełnie zasłużone.

Punkt środkowy wystawy stanowiła niezaprzeczenie rzeźba Wacława Szymanowskiego „Mickiewicz po improwizacyi,“ dzieło wspaniałe, przejmujące głębokością i siłą odtworzenia. Bronz ten przedstawia wieszcza — w połowie mniej więcej wielkości naturalnej — w chwili, gdy, stworzywszy swą pieśń nieporównaną, szczyt natężenia twórczego, padł na wznak bez zmysłów, w kurczowem omdleniu i ostatecznem wyczerpaniu. Artysta nasz potrafił w tem dziele, zdaniem mojem, lepiej, niż Rodin w „Balzacu“ i w „Wiktorze Hugo,“ i lepiej, niż Max Klinger w „Beethovenie,“ rozstrzygnąć wspólne mu z nimi zadanie: przedstawienia w wielkim geniuszu—tylko człowieka, tylko myśli, tak w twórczości, jak w cierpieniu, żywiołu poprostu ludzkiego, którego podniosłości i ogólności przeszkadzają cechy czasowe i przypadkowe, w pierwszym rzędzie w sztuce plastycznej — kostium, szczególniej nowożytny, z jego konwencyonalnemi śmiesznostkami. Beethoven Klingera, Hugo Rodina są odzieni do pasa — z czem widz nowożytny jakoś pogodzić się nie może, przychodzi mu to zresztą łatwiej z Beethovenem, z którego Klinger zrobił jakieś nadludzkie, starożytne bóstwo, królujące w chmurach, niż z Wiktorem Hugo Rodina— starym, brodatym człowiekiem, dumającym nad brzegiem szumiącego morza. Balzaca swego odział Rodin w płaszcz, ale tak dziwaczny w swej pniakowatości, że widz nie może obronić się od pewnego zmieszania, które utrudnia swobodne i zupełne zatopienie się w kontemplacyi tego zresztą niezaprzeczenie potężnego dzieła. Szymanowski uniknął tych dysharmonij. Jego Mickiewicz nie ma żadnego określonego kostiumu: kołnierz otwarty na konwulsyjnie wyprężonej szyi zdaje się mówić, że jest on w koszuli — co także pozwala przypuszczać blade światło lampy, przy której mógł późno w noc przelewać improwizacyę Konrada na papier. Prócz tego z ramion spływa płaszcz, naturalnie harmonijnemi i niezbyt wyraźnemi liniami okrywając całą postać i zlewając się niepostrzeżenie z miękkimi zarysami pościeli — łoża czy fotelu— na który padł w wyczerpaniu. Dzięki temu, choć widać, że jedno kolano zgięte jest gwałtownie i twardo, jakby się nagle załamało w osłabnięciu, choć znać, że druga noga wyciągnięta jest bezwładnie, jednak cała dolna część ciała i cała lewa strona postaci dają odpowiednie wrażenie ogólne, piękną linię wschodzącą i znakomite tło do twarzy. Ręka prawa, pysznie wyrzeźbiona, wyciągnięta jest i stwardniała w kurczu, boleśnie krzywiącym palce. Co do głowy, to absolutnie nie da się ona opisać. Jest niezmiernie podobna — ale jakiemś podobieństwem duchowem, bo i tu artysta wyrzekł się takich szczegółów, jak np. zarost. Usta rozchylone, oczy przymknięte, policzki zapadłe. Istna twarz męczennika ducha, której niepodobna zapomnieć, gdy się ją raz ujrzało. Ta bolesna głowa leży bezwładnie na poręczy, na którą z tyłu wspinają się dwie postacie kobiece, duchy oczywiście, bo nawet fizycznymi rozmiarami mniejsze od postaci człowieczej. Jedna z nich ukryła twarz w dłonie, druga — z niewymowną tkliwością składa pobożny pocałunek na skroni tego, co „objął w ramiona przeszłe i przyszłe pokolenia.“

Rzadko zdarza się widzieć dzieło sztuki plastycznej tak silne a zarazem tak harmonijne, tak kształtne a jednak tak podniośle uduchowione, jak ta rzeźba, dla której określenia ciśnie się formalnie pod pióro wyraz: „z pod serca.“ Cieszymy się bardzo, że będzie stale dostępna dla szerszej publiczności, nabyta bowiem została do muzeum w Sukiennicach krakowskich.

Szymanowski zaznaczył różnostronność swego talentu, wystawiając, prócz „Mickiewicza,“ gorący „Pocałunek matki,“ dający się porównać z najlepszemi grupami Rodina; dwa „Trytony,“ wypalone w glinie, mające służyć do ozdoby fontanny — twarze dzikie, brutalne, naznaczone piętnem melancholijnej brzydoty, wysuwające swe wargi, niby ssawki; a jednocześnie— słodki, cichy „Portret kobiety,“ i wdzięczną główkę „Dziewczęcia.“

P. Konstanty Laszczka, choć wybitny talent rzeźbiarski, siłą i polotem Szymanowskiemu nie dorównywa. Jego „Chłopki,“ a nawet „Czarownica,“ są poprawne i zimne; „Popiersie damy,“ choć zimne także, uderza wytwornością światowego piękna — i za to też zapewne zostało zakupione przez tutejsze ministeryum oświaty. Natomiast jego „Opuszczonej“ — która czepia się rozpaczliwie brzegu przepaści—nie brak siły dramatycznej, głowom, zatytułowanym „Na wieczności“ i „Mangha“ — głębokości psychologicznej, a dwom główkom „Moich dzieci“ — liryzmu.

Portret — rzeźbiony i malowany — reprezentowany był dość licznie. Do rodzaju lirycznego należą Stanisława Wyspiańskiego ciekawe portrety: własny, ojca i dziecka. Techniką — choc różną— błyszczał Wyczółkowski i Mehoffer; tego ostatniego duży obraz „Dziwny ogród“: w blaskach słońca pięknie ubrana dama i zupełnie nieubrane dziecko, zrywające kwiaty, tuż obok kobieta wiejska, zdaje się, pracu-

jąca, a nad niemi unosi się potwornie wielka łątka — wydał mi się, co prawda, sztucznym... Wracając do portretów, przyznać trzeba, że Wojciech Weiss górował nad wszystkimi swym obrazem „Rodzice,“ uosobieniem cichych, skromnych, zaściankowych, ale głęboko dobrych ludzi.

Najwybitniejszem jednak zjawiskiem na tej wystawie były chyba niezaprzeczenie krajobrazy Ferdynanda Ruszczyca z Bohdanowa. Mało kto tak maluje ziemię świeżo zoraną, wodę, śnieg. Z tych obrazów idzie powiew swojski, także taki „z pod serca.“ Nie brak go i w „Ciszy nocnej“ Kazimierza Stabrowskiego i w „Elegii“ Karola Tichy'ego z Krakowa o niebiesko malowanej trumience, niesionej pod pachą przez karawaniarza... O tem, że przenika on płótna Chełmońskiego, chyba niema co mówić; reprezentowały go tu sławne „Kuropatwy na śniegu,“ „W kościele,“ „Na folwarku“ (z r. 1875!), oraz „Wschód księżyca,“ ciemnawy, smutny, który można porównać z takimże „Wschodem“ Jana Stanisławskiego, świetlanym, wesołym, jak i inne krajobrazy tego wybornego artysty. Teodor Axentowicz dał dwie głowy dziewczęce „W żałobie dusznej,“ bardzo ujmujące prawdą i prostotą smutku, natomiast „Dziewczyna przy błękitnej wazie“ — trochę zmanierowana.

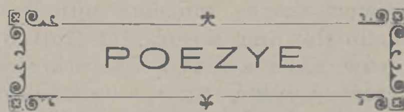
Trzy wielkie projekty witraży Stanisława Wyspiańskiego zwracały uwagę wszystkich genialną niepospolitością; co do mnie, wyznaję jednak, że tylko „Kazimierz Wielki“ wywarł na mnie określone i imponujące wrażenie. Stoi ten szkielet ogromny w płaszczu królewskim na ramionach, z mieczem u bioder, z berłem w kościstem ręku, w koronie z rubinami i szmaragdami lśniącymi na czaszce: z oczodołów tej czaszki wyziera jeszcze wielkość, siła, a od całej postaci idzie rozkaz jakiś — zupełnie jak w poemacie Wyspiańskiego. Co do witrażu św. Stanisława, to uderza przedewszystkiem głowa, a w głowie twarz pokryta ciałem i skórą, trupia, z zamkniętem oczami, brzydka, odrażająca, o wyrazie dziwnie nieszczerym... Widz uważny spostrzeże, że pod tą głową stoi trumna na całą wysokość witrażu. Głowa jest po nad trumną, po za nią, a obok głowy — wystaje jakoby z trumny pastorał. Patrzący odbiera takie wrażenie, jak gdyby poniżej głowy był ornat lśniący, spływający z ramion, a ten ornat jest właśnie wiekiem trumny, zlewa się z nią. Co chciał malarz wyrazić w „Henryku Pobożnym,“ tego, wyznaję, nie zrozumiałem, choć twarz — profil — jest i tu bardzo wyrazista.

Jacek Malczewski dał fantastyczną, mitologiczną „Pieśń wiosenną.“ Mały, pyzaty faun z rogami baranimi przygrywa na świeżo wykręconej fujarce parobkowi o brzydkiem, ale charakterystycznem, młodem, chłopskiem obliczu. Dziwny to jakiś parobek, bo na głowie ma czapkę niby błazeńską, białą, papierową w niebieskie pasy, a kaftan — cały zabrudzony farbami — i pędzel trzyma w ręku. Tłem — rola świeżo zaorana, pług, a przynim — postać kobieca, chyba bogini rolnictwa.

Na dowcipny pomysł wpadł p. Julian Fałat w „Kolei żelaznej.“ Pociąg mknie po torze, już tylko ostatnie widać wagony. Dym z komina rozciąga się długiem, białem pasmem po wilgotnej roli, dziwne przytem przybierając kształty: oto za dotknięciem tego zwiastuna szybkiej, gorączkowej cywilizacyi nowożytnej podnoszą się z pomiędzy brózd jakieś postacie: zrywa się wiejski faun i chce biedz za pociągiem w dal nieznaną, ale go inny, leżąc na ziemi, przytrzymuje z ogromnym wysiłkiem. Dalej jakiś kształt kobiecy wyrywa się z objęć innej postaci, zrosłej z ziemią; wszystko to majaczeje, rozwiewa się w pasmie dymu kolejowego.

Pp. Stanisław Masłowski, Józef Czajkowski, Pankiewicz, Szczygliński, Trojanowski, F. Jabłczyński, wreszcie Olga Boznańska dopełnili tej wystawy, ale utworami drobniejszymi, niedającymi miary ich talentów. P. Antonina Sikorska z Czernichowa wystąpiła z tkanemi ręcznie tapetami — ale na polu sztuki stosowanej bardzo trudno doprawdy mierzyć się z artystami i artystkami Secesyi wiedeńskiej!

K. Radosławski.



Zawód.

Otchłanną głębię duszy, uczuć orlich nawał,
Marzenia, których wulkan huczał mu pod [czaszką —
Pragnął rzeźbiarz odtworzyć i marmuru kawał
Śmiałego dłuta korną uczynił igraszką.

Ogarnął go płomienny, orkanowy zapał
I — potęgą wyśnionej idei omamion —
Kuł marmur bez spoczynku, choć znój z czoła [kapał,
Nie oszczędzał swych zręcznych, błyskawicz- [nych ramion.

Gdy nadszedł upragniony koniec pracy twór- [czej,
Odstąpił kilka kroków, by na swoje dzieło
Rzucić pełne miłości, radosne wejrzenie.

Spojrzał — uczuł, że serce z żalu mu się kurczy,
Rozczarowanie mroźne krew mu lodem ścięło
I zajęczał: czyż to jest myśli mej wcielenie?!

Starości...

Starości! Jeśli kiedy jeńcem twym się stanę
I rozkażesz — me włosy osypawszy szronem —
Bym resztę dni mych przetrwał, jak drzewo [złamane,
Co o potędze śniło w marzeniu stęsknionem.

Jeśli twoje wyroki tajne, niezbadane,
Każą mnie rozczarować gorzkim karmić plonem,
Dziobami trosk rozszarpią serce w krwawą ranę
Z okrucieństwem mistrzowskiem i nienasyco- [nem.

Jeśli masz mi pokazać ponure ruiny
Tego, co dziś buduję, pełen wielkiej wiary,
I w czem widzę najświętszych prawd życia od- [bicie

I jeśli przez mej duszy spękanej szczeliny
Mam ujrzeć zwątpień gady — oszczędź mi tej [czary —
Niech raczej śmierć odrazu przetnie młode życie!

S. Smoleński.



BILANS HANDLOWY KRÓLESTWA POLSKIEGO.

Ukazał się niedawno drugi zeszyt wydawnictwa p. Władysława Żukowskiego p. t. „Bilans handlowy gubernij Królestwa Polskiego,“ obejmujący wykaz obrotów Królestwa z Cesarstwem i zagranicą w handlu artykułami spożywczymi i napojami. Zeszyt więc ten zasługuje na szczególniejszą uwagę, poucza nas bowiem — mówiąc słowami sprawozdawcy jednego z dzienników — jaką daninę składamy innym krajom za dostarczone nam pożywienie, a zarazem daje szereg wskazówek, w jakich dziedzinach moglibyśmy wydatki te zmniejszyć lub też znaleźć w nich poważne źródło krajowego dochodu.

Pozostawiając szczegółową ocenę statystycznych badań p. Żukowskiego, oraz rozbiór pojedyńczych rozdziałów jego pracy specyalistom, którzy zresztą w części spełnili już swoje zadanie w szeregu artykułów w pismach fachowych i codziennych, postaramy się w krótkości przedstawić ostateczne wyniki tych badań i uzupełnić je kilkoma uwagami ogólniejszemi.

Przedewszystkiem, co nam mówi p. Żukowski?

Ostateczne wyniki swych obliczeń i badań, dokonanych, mówiąc nawiasem, z niezwykłym nakładem pracy i wśród ogromnych trudności, wskutek opłakanego stanu naszej statystyki handlowej i przewozowej, p. Ż. podaje w zamknięciu swej pracy i w trzech ogólnych tablicach A, B i C, z których — A daje nam obraz handlu Królestwa z Cesarstwem, B — z zagranicą i C — ostateczny bilans handlowy.

Tablica A. wykazuje bardzo dużą przewagę dowozu artykułów spożywczych do Królestwa nad wywozem. W zestawieniu przywóz z Cesarstwa i wywóz do Cesarstwa z Królestwa wyglądają tak:

W roku	Z Królestwa do Cesarstwa wywiez. art. spoż. za rb.	Z Cesarstwa do Król. przywiez. art. spoż. za rb.
1894	9,738,100	41,164,800
1895	9,546,200	41,017,500
1896	9,245,900	43,172,000
1897	10,206,900	47,228,100

Wywóz więc do Cesarstwa, z wyjątkiem raptownej zwyżki o 10% prawie w r. 1897, chyli się ku spadkowi; przywóz zaś z Cesarstwa do Królestwa wzrasta stale i w rezultacie Królestwo w handlu artykułami spożywczymi z Cesarstwem dopłaca rocznie od 31,5 do 37 milionów rubli. Rozważając zaś poszczególne pozycye pracy p. Ż., zobaczymy, iż jedynym poważnym naszym artykułem wywozowym jest cukier, którego rynek w Cesarstwie stopniowo jednak słabnie. Tak np. roczny wywóz rafinady naszej do Cesarstwa zmniejszył się z miliona przeszło pudów w 1876 r. do 600 tys. obecnie.

Najwięcej pieniędzy Cesarstwo otrzymuje od nas za tytoń (przeszło 12 milionów rb. rocznie), bydło, nierogaciznę (7,5 mil. rb.) i ryby (6 mil. rubli rocznie); z innych produktów najwięcej płacimy Cesarstwu za herbatę (3,5 milionów rubli rocznie).

O wiele pomyślniejsze dane znajdujemy w tablicy B, obejmującej obroty nasze z zagranicą:

W roku	Królestwo sprzedało za granicę artykułów spoż. za rubli	Do Król. przyw. z zagranicy artyk. spoż. za rubli
1894	18,048,000	9,833,400
1895	19,472,100	9,931,300
1896	20,483,600	10,669,400
1897	21,102,500	10,198,700

Wogóle więc handel z zagranicą daje Królestwu zysk, wynoszący, według obliczeń p. Ż., 7 do 10 mil. rubli rocznie. Przytem widzimy z tablicy tej stałą i normalnie wzrastającą przewagę wywozu nad przywozem.

Ostateczny bilans handlowy Królestwa, streszczony w ogólnej tablicy C, przedstawia się dla nas coraz ujemniej, wskutek stale wzrastającej przewagi przywozu nad wywozem w handlu z Cesarstwem. Przewagi tej nie są w stanie wyrównać o wiele wolniej i w mniejszym stopniu wzrastające zyski Królestwa w handlu z zagranicą, tak że w rezultacie Królestwo do obrotów handlowych artykułami spożywczymi dopłaciło:

w roku	1894	23,212,300 rb.
„	1895	21,930,900 „
„	1899	24,104,700 „
„	1897	26,180,000 „

Taka stała i corocznie prawie zwiększająca się dopłata nie jest, zdaniem p. Ż., ani

odpowiednia całokształtowi interesów naszego gospodarstwa narodowego, ani też nieunikniona i może być w części zmniejszona przy pomocy środków, nieprzekraczających kompetencyi społecznej. W tym też celu p. Ż. w końcu swej pracy streszcza uwagi, rozsiane po odpowiednich rozdziałach w „konkretny program akcyi społecznej, podyktowanej przez cyfry.“ Oto punkty tego programu w dosłownem brzmieniu.

1. Uporządkowanie wywozu za granicę drobiu, jaj, masła, oraz rozwinięcie na szeroką skalę handlu mięsem przez założenie rzeźni w Warszawie.

2. Opieka nad krajowem gospodarstwem owocowem i rybnem.

3. Staranie o wynalezienie krajowej soli i

4. Propaganda wstrzemięźliwości zwłaszcza od palenia pomiędzy ludnością robotniczą i miejską.

„Systematyczna działalność we wskazanych kierunkach mogłaby zaoszczędzić od 10 do 15 milionów rubli rocznie, co odpowiada przyrostowi gospodarstwa społecznego o 200 do 300 mil. rb. Jakkolwiek drobnymi mogłyby się wydawać środki wskazane, doniosłość ich ekonomiczna jest niewątpliwie bardzo poważną, — kończy autor.

Tyle p. Żukowski. Do tych jego czysto praktycznych wniosków dołączymy tutaj niektóre uwagi ogólniejsze, jakie nam się nasunęły przy czytaniu rozstrząsanej pracy.

5. Stan naszego handlu artykułami spożywczymi i napojami, tj. przedmiotami użytku codziennego przedstawia, mówiąc poprostu, obraz nędzy i ropaczy. Olbrzymie sumy płacimy za mięso, ryby, sól, jarzyny, owoce i inne artykuły, które nie są bynajmniej „zamorskie“ i które moglibyśmy mieć u siebie. Wywóz nasz do Cesarstwa słabnie powoli: prócz cukru zmniejsza się ilość wywożonego spirytusu, do czego zresztą przyczynia się i niedogodne położenie geograficzne królestwa, oraz różnica taryf (str. 64), toż samo można powiedzieć o piwie, wypieranem szybko przez piwo Cesarstwa (stosunek naszej produkcyi do ogólnopaństwowej w ciągu rozpatrywanych lat 4 spadł z 23% do 19% (str. 68). Tutaj znowu trzeba zaznaczyć, że prócz obostrzeń po wprowadzeniu monopolu do upadku powodzenia naszego piwa przyczyniły się jego drożyzna (wiadro naszego piwa kosztuje przeciętnie około 90 kop., nadbaltyckiego zaś 80, a litewskiego — 75 kop.) i o wiele gorszy gatunek naszego wyrobu, wypływający znowu z całego szeregu przyczyn, pomiędzy któremi niepoślednie miejsce zajmuje brak, dobrego jęczmienia browarnego, co już jest w znacznej części winą stanu ziemiańskiego *).

Dalej, uderza nas niesłychanie niedołężna organizacya naszego handlu, a raczej brak jakiejkolwiek organizacyi. Dość powiedzieć, że handel drobiem i jajami, dający Królestwu czysty dochód niemal dwa razy większy, niż handel pszenicą, znajduje się dotąd wyłącznie w rękach drobnych przekupniów, przeważnie Żydów, że olbrzymia część tego handlu ześrodkowywuje się w powiatach nadgranicznych (dowodem fakt, iż przez komory niekolejowe, wychodzi znacznie więcej, niż przez komory kolejowe **). Kraj od wieków przeważnie, a dziś jeszcze wybitnie rolniczy, jak Królestwo, pomimo panowania już od lat blizko 40 gospodarki pieniężnej w rolnictwie, po dziś dzień nie zdobył się na rozwój gałęzi pomocniczych gospodarstwa rolnego: ogrodownictwa, rybołóstwa, hodowli trzody, drobiu itd. Dużo, bo 33% dowozu owoców, daje nam Litwa i Białoruś (str. 40), mające warunki klimatyczne jednakie, a co do gleby znacznie gorsze, niż Królestwo; z tych samych krajów corocznie wzrasta dowóz do Królestwa towarów nabiałowych (str. 32 i 33 tablica XV i XVI); pomimo obfitości rzek i, względnie do obszaru naszego kraju, dużych przestrzeni jezior w guberniach Suwalskiej i Kaliskiej, nie jesteśmy w stanie rozwinąć gospodarstwa rybnego i płacimy Cesarstwu 6 milionów rubli rocznie za ryby!

Wszystko to razem dowodzi niesłychanego zacofania naszego ziemiaństwa. Mnóstwo atramentu i czernidła drukarskiego zużyto na rozprawy, co do skierowania tego stanu na drogę gospodarki postępowej, od lat niepamiętnych grzmią o tem publicyści i belletryści nawet, a nasze ziemiaństwo, wciąż stoi na jednem miejscu, łata mniejsze dziury parcelacyą i hipotekami, a w rezultacie unosi się nad niem złowrogi napis „Ni żyć, ni umrzeć.“ Oczywiście niewłaściwem byłoby w czambuł potępić naszą szlachtę, przypisując stan taki jej zacofaniu pojęciowemu; olbrzymią a bodaj wyłączną rolę odgrywają tu niezwykle ciężkie warunki ekonomiczne, wyjątkowość położenia naszej średniej własności ziemskiej, zaczynającej powoli stawać się anachronizmem. I tu właśnie otwiera się pole do ścisłych badań naukowych, ażeby do cokolwiek przestarzałych już dziś prac Górskiego i Blocha dodać wyniki nowsze.

Praca p. Żukowskiego podaje bardzo ogólnikowe wiadomości o okolicach Cesarstwa, z któremi handluje Królestwo. I z tych jednak wzmianek przebija się ważność dla nas, jako rynku, gubernij południowo i północno-zachodnich Cesarstwa.

Na Litwie Królestwo sprzedaje znaczną część wywożonego cukru (str. 50); Litwa i Białoruś dają nam 33% dowozu owoców, handel nabiałem i (str. 33) drobiem (co do Cesarstwa) Królestwo również prowadzi z Litwą; z Białej Rusi i gubernij południowo-zachodnich otrzymujemy olbrzymią większość chlewni (str. 14); Pińszczyzna zmonopolizowała w znacznej części dostawę do Królestwa ryb rzecznych (str. 26); wreszcie gubernie południowo-zachodnie dostarczają wyłącznie Królestwu bydła rogatego. Opracowanie naszych obrotów handlowych z powyższemi guberniami, byłoby ważnem dla wyjaśnienia kwestyi t. zw. „rynków wschodnich,“ odgrywających wielką rolę w naszych rozprawach ekonomicznych, a także wogóle dla zakreślenia naszego terenu przemysłowo-handlowego, o którym, szczerze mówiąc, nader mgliste mamy pojęcie.

J. Dąbrowski.

*) Radziszewski. „Zarys rozwoju przemysłu w Królestwie Polskiem,“ str. 407. (W naszych sprawach r. 1900).

**) Kwestya tej gałęzi naszego handlu niedawno została pracowicie obrobiona w artykule *Gazety Warszawskiej*.

NA MARGINESIE.

Tragedya dziecka. *Vorwärts* berliński zamieścił następującą notatkę:

Postawiono przed sądem, oskarżoną o wielokrotną kradzież, 14-letnią dziewczynę. Na zapytanie sędziego:

— Co robiłaś z przedmiotami kradzionymi?

— Sprzedawałam je—odpowiedziała dziewczyna.

— Aby kupić sobie łakoci, prawda?

— Nie, aby dziecko moje nakarmić.

— Jakie dziecko?

— Moje dziecko!

— Jakto, ty masz już dziecko? — zapytał sędzia zdumiony.

— A tak — odpowiedziała dziewczyna, wybuchając takim płaczem, że słowa przemówić nie mogła.

Wówczas lekarz, który ją badał i jako rzeczoznawca wezwany został, dał sądowi wyjaśnienie, że dziewczynę uwiódł człowiek żonaty, a kiedy miała zostać matką, własny jej ojciec wypędził ją z domu. Przeciw uwodzicielowi wniesione będzie dochodzenie sądowe, a oskarżoną sąd jednogłośnie uwolnił od odpowiedzialności za winę kradzieży, popełnioną w stanie zupełnej niepoczytalności: dziewczyna jest epileptyczką; na policyę włożono jednak obowiązek umieszczenia jej i dziecka w domu wychowawczym.



Wiadomości społeczne. W więzieniu łomżyńskiem, staraniem miejscowego doktora Macierzy, urządzono odczyty dla skazanych, które odbywać się będą raz na tydzień. Na pierwszym odczytano nowelkę Orzeszkowej p. t. „W zimowy wieczór.“

— Zatwierdzoną została ustawa Towarzystwa muzyczno-dramatycznego w Skierniewicach.

— D. 29 z. m. odbyło się w Petersburgu pierwsze zebranie Towarzystwa halicko-rosyjskiego, na którem założyciel jego, Dragomirecki, wyjaśnił, że powstało w celu utworzenia w Rosyi ogniwa, łączącego Ruś podkarpacką ze stolicą narodu rosyjskiego. Głównem zadaniem Towarzystwa będzie dobroczynność i rozpowszechnianie śród Haliczan języka rosyjskiego, ażeby żyli w pełni życiem rosyjskiem. (*Pet. Wied.*).

Szkoły i wychowanie. Ministeryum oświaty rozporządziło, że uczennice, które otrzymały świadectwa z ukończenia progimnazyum lub trzech klas gimnazyum i chcą otrzymać prawo nauczania w szkołach początkowych, obowiązane będą, po ukończeniu 16 lat, odbyć zajęcia praktyczne. Pozwolenie na to wydaje miejscowy dyrektor szkół początkowych, od którego zależy też przyjęcie praktykantek na pomocnice nauczycielek w klasach wstępnych gimnazyów żeńskich.

— Ministeryum oświaty zawiadamia, że lekarze-weterynarze mogą być przyjmowani na studya tylko na pierwszy kurs wydziału lekarskiego, po zdaniu egzaminu z łaciny.

— Budżet ministeryum oświaty na rok bieżący obliczono na 40,656,389 rb., czyli o 4 mil. rb. więcej, niż w roku poprzednim. Sumę tę podzielono w sposób następujący: 1 i pół mil. rb. na administracyę, 4,540,000 rb. na uniwersytety, 6,700,000 na średnie zakłady naukowe klasyczne, 4,120,000 na szkoły realne i przemysłowe, 10.890,000 na szkoły ludowe, miejskie i cerkiewne, 1 i pół mil. na seminarya nauczycielskie.

Z Poznańskiego. Pisma poznańskie podają następującą półurzędową wiadomość: „Ponieważ dotychczasowe środki, przedsiebrane przeciw szerzeniu się polszczyzny w Poznańskiem i Prusiech zachodnich okazały się niedostateczne, rozważane jest pytanie, czy nie należałoby dla tych prowincyj utworzyć osobnego ministeryum, któremu podlegałyby wszystkie tamtejsze władze prowincyonalne. W ten sposób mogłaby być przeprowadzaną jednolicie i energicznie polityka obrony żywiołu niemieckiego przeciw Polakom.“

Literatura i prasa. *Kur. Warsz.* donosi: „W roku 1900 p. Maciejowski wydał mapę Litwy, na której nazwy litewskie rzek i wsi były wydrukowane literami łacińskiemi. W osiem miesięcy po wypuszczeniu mapę skonfiskowano na mocy rozporządzenia głównego zarządu do spraw prasowych. P. Maciejowski wystąpił z akcyą cywilną przeciw prezesowi zarządu, ks. Szachowskiemu. Senat przyznał wydawcy prawo wyegzekwowania od ks. Szachowskiego, w porządku procedury wykonawczej, straty w sumie 1,200 rb.

— W warszawskiem Towarzystwie muzycznem urządzona została dla jego członków czytelnia pism muzycznych.

— Pp. A. Sygietyński i M. Białowiejski otrzymali pozwolenie zbierania składek do wysokości 2,000 rb. na postawienie pomnika na grobie Adolfa Dygasińskiego.

Ze sztuki. Na konkursie *Tyg. Ilustr.*, urządzonym na wystawie jednobarwnej w Salonie Krywulta, nagroda 100-rublowa przyznaną została p. J. Deskurowi za kompozycyę p. t. „Król indyjski powraca z królem wysp czarnych,“ stanowiącą ilutracyę do baśni „Tysiąc i jedna noc.“

— Na konkursie Towarzystwa fotograficznego pierwszą nagrodę otrzymał p. Stanisław Hertz z Warszawy za zbiór widoków Ojcowa i jego okolic; drugą — p. Łukasz Dobrzański z Warszawy za widoki z gub. Podolskiej; trzecią — p. Henryk Wińcza za widoki z pow. Wilejskiego.

— W Tow. zachęty w Warszawie otworzoną została wystawa „okrężna,“ na którą złożyło się 120 prac artystów polskich.

— Warsz. Towarzystwo artystyczne ogłosiło z inicyatywy inż. M. Lutosławskiego konkurs na wykonanie w płaskorzeźbie głowy Chrystusa. Nagroda 100 rb., termin ostateczny 16 lutego r. b.

Sprawy ekonomiczne. Przy wydziale naukowym ministeryum skarbu założone będzie biuro do spraw przemysłowo-artystycznych, w celu gromadzenia materyałów i wiadomości potrzebnych do kształcenia w tym kierunku.

— Powstał projekt założenia rządowej średniej szkoły rolniczej w okolicy Kowna.

— Zatwierdzoną została ustawa Towarzystwa oszczędnościowo - pożyczkowego w Lipnie (gubernii Płockiej.)

— Ustawy Towarzystw kredytowych dopełnione zostały paragrafem, zobowiązującym do przechowywania w Banku państwa papierów kapitału zapasowego.

— *Mosk. Wied.* ogłaszają zaprzeczenie ministeryum rolnictwa, które jakoby zamierzało skierować wzmagający się w Królestwie Polskiem ruch wychodźczy na grunta skarbowe kraju Zakaukaskiego, zamiast do Ameryki. Projekt podobnego rodzaju nie był i nie mógł być podnoszony, albowiem na zasadzie Najwyżej zatwierdzonej d. 15 kwietnia 1899 r. uchwały komitetu ministrów, pozwolenia na przesiedlanie się do kraju Zakaukaskiego wydawane być mogą tylko osobom pochodzenia rosyjskiego i wyznania prawosławnego, przyczem wychodźcom już zamieszkałym na Kaukazie pozwolenia takie wydaje główny naczelnik tej miejscowości, napływającym zaś z innych okolic— ministerya spraw wewnętrznych, rolnictwa i dóbr państwa.

Poczta. Od d. 14 b. m. opłata ubezpieczeniowa od przesyłek wartościowych i pieniężnych oraz przekazów pocztowych ulegnie obniżeniu. Do 600 rb. wynosić będzie po $^1/_2$ kop od rubla, do 1,600 — po $^1/_8$ kop. z dopłatą 75 kop. od całej przesyłki; powyżej 1,600 — po $^7/_{16}$ kop. z dopłatą 1 rb. 75 kop. Od jednego wysyłającego i na imię jednego adresata w ciągu jednego dnia nie będą przyjmować więcej jak 5 przekazów 200-rublowych na ogólną sumę 2,000 rb. Opłata za przekazy od posyłek mniejszych będzie wynosić: do 25 rb. — 15 kop., do 100 — 25 kop., do 200 — 40 kop. Przy przekazach telegraficznych obowiązywać będzie opłata dodatkowa do całej sumy (za telegram złożony z 25 słów) 1 rb. 40 kop.

Koleje i komunikacye. Zarząd kolei Nadwiślańskich zawiadamia, że podróżni w komunikacyi bezpośredniej, jadący w kierunku Petersburga pociągiem Süd Express, a posiadający bilety do pociągów po spiesznych, obowiązani są wykupić na stacyi Praga bilety dodatkowe przy przesiadaniu się na Express kolei Warszawsko-Petersburskiej,

— Władze komunikacyjne wyjaśniły, że podróżny, przedstawiający kasie bagażowej kilka biletów, wydanych chociażby nie przez jedną stacyę i do różnych miejscowości, ma prawo żądania potrącenia ulgowych 40 funtów na każdy bilet z należności za przewóz swego bagażu na przestrzeni, którą ma przebyć na danej linii aż do rozgałęzienia się kolei, na których znajdują się stacye, oznaczone na złożonych biletach.

Zdrowie publiczne. W Stuttgardzie panuje epidemicznie influenza.

— W Bender-Abbasie, w Turcyi, umiera na cholerę do 15 osób dziennie.

— W Mazatlanie, na wybrzeżu zachodniem Meksyku, szerzy się dżuma.

Katastrofy. W stanie Ontario, Ameryki Północnej, pociąg Express, idący z Chicago, wpadł na towarowy; 25 osób poniosło śmierć na miejscu, około 30 jest ciężko ranionych.

— W Chili wybucha obecnie pięć wulkanów.



Pani E. H. z ulicy Złotej. Tłomaczenie do zwrotu.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 26 Декабря 1902 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.